№ 37. Warszawa, dnia 10 Września (29 Sierpnia) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się terminu kwartalnej przedpłaty, prosimy o nadsyłanie jej wczesne i bezpośrednie do redakcyi.

JESZCZE O ZANIEDBANEM POLU.

W jednym z pierwszych numerów *Prawdy* wypowiedzieliśmy pod tym tytułem kilka uwag, odnoszących się do stanu wiedzy w naszem społeczeństwie, przyczem zwróciliśmy głównie uwagę na tak zwane nauki ścisłe. Czytelnik z łatwością zapewne przypomni sobie, że głównym rezultatem wspomnianego artykułu było wykazanie, że wiedzy ścisłej u nas niema wcale; że konieczności jej istnienia ani społeczeństwo ani prasa, zdaje się, wcale nie pojmują. Zgiełk, wywoływany nawałem drobnych spraw bieżących, głuszy ciche słowa nauki, dopominającej się o swe prawa, a pochopność ogółu do wypełniania świetnych obowiązków, utrwalających jego przyszłość intelektualną, jest wyzyskiwaną na efektowniejsze, być może, lecz mniej ważne cele.

Że tak jest, staraliśmy się udowodnić uprzednio; obecnie przypatrzymy się tej sprawie nieco bliżej, aby do świadomości celów dodać świadomość środków. Ta ostatnia bowiem bardziej jeszcze, niż jasne wytknięcie drogi, którą kroczyć należy, wpływa na powodzenie danej sprawy.

Jak wszędzie, tak i tu, do gruntownego poznania stanu rzeczy mogą nam służyć dwie metody: jedna historyczna, oparta na zbadaniu warunków, wywołujących olbrzymi rozrost wiedzy ścisłej za granicą, druga bezpośrednia, polegająca na prostem zastosowaniu do warunków miejscowych tych środków, które zwykły rozsądek za odpowiednie uznać każe.

W rozpatrywanym przez nas przedmiocie obie drogi, jak się przekonamy, do jednego doprowadzają wniosku, co samo służyć już może za miarę jego słuszności. Najpobieżniejszy rzut oka na dzieje nauki ścisłej za granicą wykazuje dowodnie, że dopóty rozwój jej był słabym i bezowocnym, dopóki badania sprowadzały się do przerabiania naukowego materyału, zostawionego przez starożytnych. Ciemnota wieków średnich właśnie w braku samodzielnych badań ma swoje źródło. Z chwilą, w której wzięto rozbrat z Pliniuszem, a zwrócono się do przyrody; w której przestano poraz tysiączny wertować stare księgi, a zaczęto pilnie obserwować odwieczne zjawiska; z chwilą, w której prawdy poczęto szukać nie w tysiąckrotnie już obrobionym Arystotelesie, lecz w wiecznie młodej księdze przyrody — powstał szybki rozwój nauk ścisłych. Samodzielne badanie natury i jej zjawisk, wpatrywanie się w nią ustawiczne i natrętne, zadawanie jej pytań i odbieranie od niej odpowiedzi, jakby się wyraził Tyndall, oto jedyne, lecz niezbędne warunki postępu ścisłej wiedzy przyrodniczej. Pogląd taki nie jest bynajmniej odą, wypowiedzianą jednostronnie na korzyść metody doświadczalnej, lecz przeciwnie, jest on owocem uważnego i spokojnego wpatrzenia się w dzieje umiejętności ścisłych; głoszą go i podzielają tak nawet surowi badacze, do jakich należał Poggendorff.

Nie trzeba jednak wcale wnikać w dzieje nauki, by dojść do podobnego wniosku. Dość jest pomyśleć tylko o tem, jaką drogą osiągnąć można prawdy doświadczalne, by zawyrokować, iż jedynie drogą doświadczenia.

Regułę tę, uznaną i głoszoną jeszcze przez Bacona, zrozumiały narody, przodujące nam dzisiaj w oświacie. To też w wszystkich ogniskach życia umysłowego zgromadziły potrzebny zapas środków badania. Czy los rzuci żądnego pracy naukowej młodzieńca do stołecznego Berlina, czy do ustronnej Tübingi, wszędzie znajdzie on środki do naukowej pracy: bibliotekę, pracownię, gabinet i przewodnika; wszędzie spotka grono ludzi, którzy niebacząc na codzienne troski powszedniego żywota — zajmują się naukowem badaniem przyrody, wzajemnie wspierając się w pracy, lub walcząc z sobą — co dla nauki tylko korzyść przynieść może.

U nas inaczej. Nie tylko Lublin lub Radom w środki i pracownie nie obfitują, lecz niema ich nawet w Warszawie. Przykład d-ra Jędrzejewicza, fundującego swym krwawo zapracowanym groszem obserwatoryum astronomiczne i działalność tego grona ludzi, którzy podjęli wydawnictwo fizyograficzne, są objawami tak wysilonych i naprężonych stosunków naukowych, iż mimowoli przenoszą myśl naszą w te odległe czasy wieków średnich, w których istotnie tylko osobisty, nadludzki wysiłek mógł dać światu nową prawdę naukową. Dziś jednak taki stan rzeczy nie może być usprawiedliwiony niczem. Nauka rozrosła się olbrzymio; jej metody stały się bardziej złożone, jej środki—bardziej trudne w użyciu. Dziś bez ułatwień, bez pomocy naukowych, największa zdolność zedrzeć się musi, bo samo zdobycie środków badania, samo obznajmienie się z metodami — wymaga niezmiernie wielkiego nakładu pracy.

A tymczasem nic się na tem polu nie robi. Jedyne stypendyum dr. Bącewicza, poświęcone nie zawodowemu, lecz naukowemu wykształceniu młodych ludzi — nie ma kandydatów i bywa rozdzielane pomiędzy studentów. Dlaczego tak jest — odpowiedzieć łatwo. Naprzód dlatego, że stypen-

dyum jest za małe (450 rs. rocznie), powtóre dlatego, że obstawiono je, w najlepszych zresztą chęciach, tysiącem formalności prawie niepodobnych do wypełnienia.

Obejrzawszy się po Warszawie i po kraju, uznać musimy ze smutkiem, że nawet, wedle słów przysłowia, wiatr na naukę ścisłą nie wieje. Ani bibliotek dostępnych, ani pracowni niema, a co najważniejsza: za najcięższą pracę naukową nikt grosza nie da. Ci, którzy z ochotą wyrzekliby się pewnej sumy przyjemności i zbytku, byleby mogli pracować naukowo — nie mogą tego uczynić bez narażenia się na niechybną śmierć głodową. Z drugiej strony ogólny, do dziś trwający zastój naukowy sprawia to, że u nas każdy dłuższą niż za granicą musi przebiedz drogę—zanim zdoła się wspiąć na te wyżyny, na których stoi dzisiejsza nauka.

Nic łatwiejszego nad utyskiwanie. Zewsząd słychać skargi i narzekania: „Niema dobrego podręcznika fizyki — niema dobrego podręcznika chemii,“ a ogół narzekających, zdaje się, zapomina, iż dziwić się temu niemożna; że przeciwnie, byłby godnym najwyższego podziwu rozkwit literatury naukowej tych przedmiotów. Bo któż ma pisać tego rodzaju książki, jeśli nie ci, którzy spędzają życie w pracowni, a skąd ich wziąć, jeśli pracowni u nas niema?

Ten, co w ciągu swego życia dotknął się własnemi rękami danej kwestyi naukowej—opracował ją w książce doskonale i bez najmniejszego wysiłku, bo drogą długiej pracy i spokojnego rozmyślania nagromadził w swym umyśle szereg odnośnych wiadomości i co ważniejsza, wyrobił sobie swój własny, indywidualny na rzecz pogląd. Pisanie książki na obstalunek, dla tego, iż jej żąda nakładca, może dać tylko kompilacyę, czasem nawet szczęśliwą, ale zawsze chwiejną, w której przerzucanie się od poglądów jednego autora do drugiego będzie tem widoczniejsze, im krytyczniejszy umysł podobną pracę podejmie.

Chcieć od „uczonych“ książki przyrodniczej, a nie dać im pracowni i bibliotek, jest to samo, co żądać, by konie ciągnęły wóz, do którego ich nie zaprzągnięto. A jeśli nawet, bo i to się zdarzyć może, napisze ktoś książkę dobrą, to wyjdzie ona z pracowni Helmholtz'a lub Wurtza albo Thomsona i z naszym rozwojem naukowym żadnego genetycznego związku mieć nie będzie.

Jak dzieło historyczne nie może powstać poza obrębem archiwów, bez kronik i pamiętników — podobnie przyrodnicza książka nie może powstać poza pracownią przyrodniczą. Dopóki więc nie będziemy mieli ostatnich, dopóty narzekania na brak pierwszych będą nieusprawiedliwione. Budowa nigdy nie może być rozpoczynaną od dachu, więc też i podnoszenie poziomu wiedzy przyrodniczej należy rozpocząć od tego, co jej podstawę stanowi, t. j. od ufundowania odpowiednich instytutów, w którychby można naukę czerpać i badania przyrody prowadzić.

Czy nas stać na coś podobnego, przyszłość okaże, tak jak teraźniejszość dowodzi, że stać nas na ośm czy dziewięć, (bo nie wiem ile) teatrów i na najlepszych w Europie tenorów. Gdyby zrozumiano, a nawet gdyby tylko zrozumieć chciano, ile dobrego mieści w sobie rozwój czystej nauki, jak ona orzeźwia i ożywia naród, gdy w jego masę przenika — z pewnością niedługo byśmy czekali na powstanie podobnych instytucyj. Manchester cały dochód ze swej własnej fabryki gazu poświęca na bibliotekę publiczną; owoc nauki, gaz oświetlający, jest tam zarazem sokiem, żywiącym dalszy jej rozwój. Inne miasta zagraniczne mają swe muzea i pracownie i u nas czas już wielki na coś podobnego, bo im później— tem trudniej będzie, gdyż postęp nie będzie czekał, aż się namyślimy, i swą koleją pobiegnie naprzód.

Tyle z jednej strony. Przyjrzyjmy się drugiej. Jak są wykładane nauki doświadczalne w szkołach średnich, czy i ile tam uczniom pokazują doświadczeń? Odpowiadać nie potrzeba, bo każdy z nas był w szkołach, każdy ma w nich dzisiaj syna, brata lub kuzyna.

Niedawno Huxley powstawał przeciw Bainowi, za to, iż ten mówił o mózgu, chociaż go nie widział i osobiście nie studyował. Zarzut ten jest, o ile nam się zdaje, słuszny; lecz w takim razie, co warte odpowiedzi naszych uczniów na egzaminach, jeśli oni żadnego z opisywanych doświadczeń nie widzieli? Czy je widzieli sami wykładający, to także wielkie pytanie, pomimo iż najznakomitsi pedagogowie współcześni *stanowczo* wymagają, aby wykładający nauki doświadczalne byli obznajmieni dokładnie nawet z „zakulisową“ stroną wszystkich doświadczeń, t. j. znali dokładnie nietylko zasady przyrządów, lecz i ich specyalne zalety, wady lub usterki.

Wątpię, a mam po temu pewne dane, czy od czasu powstania pojęć o natężeniu strumienia elektrycznego, mierzono u nas jego siły w celach naukowych. Służące do tego przyrządy: bussola stycznych, bussola wstaw, elektrometr Thomsona — nigdy u nas właściwego swego przeznaczenia nie wypełniły; siły strumienia nie mierzono i nie mierzą nimi — spełniają one inny cel, o jakim nie marzyli ich wynalazcy: są wybornemi narzędziami tortur egzaminacyjnych. Nic więc dziwnego, że tylko ogólne podziwy budzi w nas kongres elektryczny i połączona z nim wystawa, bo do istotnego w nim udziału nie jesteśmy przygotowani; nie z braku zdolności lub chęci do pracy, lecz z braku środków, które co rychlej znaleźć trzeba.

Gdzie się po nie zwracać— trudno byłoby orzec, gdyby Staszyc nie był w tych samych celach utorował drogi. Pragnąc rozwoju wiedzy przyrodniczej, zwracał się on do młodzieży, i tych wszystkich, którym rozwój społeczny jest drogi.

J. I. T.

MOWA T.-H. HUXLEY'A

o związku biologii z medycyną.

(Dokończenie).

Fizyologowie XVIII wieku byli o wiele szczęśliwsi od Descartes'a. W chemii współczesnej i w nauce o elektryczności znaleźli oni bardzo wiele danych, pozwalających na sumienną analizę zjawisk życia. Większa część postępów, dokonanych w bieżącem stuleciu, stwierdza zasadniczą myśl Descarte-

BALADY PROZĄ.

(Dwa opowiadania A. Daudet.)

Otwieram drzwi i cóż widzę: oto cała przestrzeń w około młyna pokryta srebrzystą gazą. Trawa, dziana jakby kryształem, lśni i chrzęści pod nogami; mróz objął pagórek w chłodne, żelazne okowy. Odrazu, prawie cudem, rozkoszna Prowancya zmieniła się w polarną okolicę. Wtedy to, pośród sosen, które szron odział białym, śnieżystym całunem—pośród grup lawendy, przedstawiających się jak bukiety z kryształu, napisałem, nieco na sposób niemiecki, te dwie balady, gdy nad moją głową, w wyżynach podniebnych, podłużnym trójkątem płynące bociany wołały głosem grobowym: zima! zima! zima!

I.

Śmierć Delfina.

Maleńki Delfin chory, maleńki Delfin umiera. W całem królestwie, we wszystkich kościołach, dzień i noc, goreją lampy i świece, i odbywają się nabożeństwa za zdrowie potomka panującej rodziny. Na ulicach starożytnej stolicy cisza grobowa, milczą dzwony, powozy i karety toczą się powoli, noga za nogą. Ciekawi mieszkańcy tłoczą się do bram pałacu i wpatrują się w straż przyboczną, szwajcarów, błyszczących szychem i złotem i rozprawiających w dziedzińcu z wielką, uroczystą powagą.

Cały zamek burzy się ruchem jak w mrowisku... Szambelani i dworzanie zbiegają i wbiegają po szerokich kamiennych stopniach schodów. Tłoczą się pażowie w korytarzach a służba w jedwabiach i orderach gromadzi się w grupy i gwarzy, szepcząc tajemniczo.

W ogromnych, przestronnych salach pałacu, damy dworu snują się niby widma grobowe, z zapłakanem okiem, ze zlanem łzami obliczem, z przytknięta do ust koronkową chusteczką, tłumiąc zbyt głośne jęki i szlochania!

W innej sali zgromadzili się lekarze.

Przez szyby okien, widać doktorskie togi, podrzucane nagłym ruchem rąk i łyse głowy, pokryte peruką!

Nauczyciel i paź delfina chodzą pospiesznie tami napowrót, wyczekując na otwarcie drzwi i stanowczą decyzyą konsylium. Mimo nich przebiegają chłopcy do posługi, z szyderczym uśmiechem, z hardo podniesioną głową, zapominając o należnem uszanowaniu dla dygnitarzy!

Paź oburzony obdziela ich słowami wyrzutu, nauczyciel w rozpaczy... deklamuje ody Horacego!

Równocześnie z odległej stajni od pałacu płyną bolesne, jęczące rżenia: to koń Delfina, zapomniany przez masztelarzy, głosem głodu woła do żłobu pustego od dawna..

A król? Gdzież król? Król, sam jeden, zamknął się w najodleglejszej sali pałacu... Głowy koronowane nie lubią, by widziano ich łzy... Królowa, to rzecz inna... Siedząc u wezgłowia maleńkiego Delfina, zalewa się gorzkiemi łzami, nie wstydzi się płakać głośno... jak prosta mieszczanka.

Maleńki Delfin, bledszy niż poduszki, leży w koronkowej pościeli z zamkniętemi oczami. Wszyscy sądzą, że spi, ale nie! nie spi malutki Delfin! Zwraca się nagle ku matce i widząc że płacze, mówi:

— Dla czego płaczesz królowo? więc pewną jesteś, że umrę?

Królowa chce odpowiedzieć, ale łkania nie pozwalają jej wyrzec słowa.

sa, gdyż coraz to więcej objawów fizyologicznych daje się sprowadzać do czysto fizyko-chemicznych przyczyn i działań.

„Pragnę objaśnić cały mechanizm ciała ludzkiego w ten sposób, żebyśmy już nie potrzebowali przypuszczać, że dusza wywołuje ruchy mimowolne, tak samo jak nie ma zgoła żadnej potrzeby przyjmowania, że w zegarze istnieje dusza — niezbędna do wywołania ruchu wskazówek, znaczących godziny“ (De la formation du foetus)

Te słowa Descartes'a mogą być wzięte za epigraf podręcznika współczesnej fizyologii. Aczkolwiek jednak nie można zaprzeczyć, jak mi się zdaje, że Descartes pierwszy powziął słuszną myśl uważania ciała ludzkiego za mechanizm fizyczny, co stanowi myśl, wyróżniającą fizyologię obecną od starożytnej, niemniej przeto niesposób jest nie zauważyć, iż postępował on nadzwyczaj błędnie, porównywając ustawicznie znane mu dokładnie maszyny hydrauliczne i zegary do rozmaitych części ciała ludzkiego. W wszystkich tych maszynach znajduje się główne źródło siły, — wszelkie inne, ponad to źródło, części maszyny — są tylko biernemi rozprowadzaczami siły. Szkoła kartezyańska uważała ciało ludzkie jako maszynę tego właśnie rodzaju, — a tymczasem pod tym względem można było bardzo wiele prawdy znaleźć w szkole Gallena, która aczkolwiek nadużyła teoryi *zdolności naturalnych*, jednak pomimo to położyła wielkie zasługi, uznawszy siły miejscowe, odgrywające tak wielką rolę w dzisiejszej fizyologii. Glisson poznał tę samą prawdę, lecz występuje ona wyraziście poraz pierwszy u Hallera, w jego doktrynie o *vis insita* mięśniów. Jeśli mięsień bez nerwu może ulegać skurczowi, to wszelkie objaśnienia mechanizmu skurczu przez wpływ duszy zwierzęcej upada i żadnej racyi bytu mieć nie może. Odkrycia i prace Trembley'a były przedsięwzięte w tym właśnie celu. U polipa wód słodkich (hydry) nie podobna odszukać ani śladu tego skomplikowanego mechanizmu, który u zwierząt wyższych jest niezbędnym do prawidłowego wykonywania funkcyj życiowych, a mimo to hydra porusza się, odżywia się, rośnie, rozmnaża się, a nawet oderwane jej części posiadają własności całkowitego zwierzęcia. Nareszcie, ukazanie się dzieła Wolffa p. t. *Theoria generationis*, 1759, było ostatecznym ciosem, wymierzonym przeciwko kartezyańskiej fizyologii — wykazało ono bowiem, że wzrost i rozwój zarówno zwierząt jak i roślin ma miejsce i wtedy, gdy organy nie zdołały się jeszcze utworzyć, że ich powstanie jest raczej skutkiem a nie przyczyną życia. Wedle Wolffa fizyczną podstawą życia jest płyn, obdarzony szczególną siłą, *Vis essentialis*, i pewną własnością, *Solidescibilitas*, które wspólnie dają początek organizmowi. Z tego już pokazuje się, że Wolff obalał zupełnie cały system jatro-mechaniczny.

W Anglii olbrzymia powaga Johna Huntera wywarła wpływ podobny. Należy jednak zauważyć, że bardzo nieściśle wyrażenia, w jakie Hunter zwykł był ubierać swe pomysły, pozwalają na najrozmaitsze interpretacye. Niemniej przeto w pewnych razach Hunter bywa czasami zupełnie jasny, tak naprzykład mniema on, że „duch jest tylko własnością materyi“ (*Introduction to Natural History*, p. 6.). Jest on skłonny do porzucenia teoryi animizmu, a pogląd jego na życie jest do tyla czysto fizycznej natury, że nie waha się on twierdzić, iż życie jest już związane z pokarmami. „Pokarmy, które przyjmujemy wewnątrz zawierają w sobie istotne życie w stanie stałym, występuje ono jednak czynnie dopiero wtedy, gdy wprowadzimy je do żołądka.“ (*Observations on Physiology*. p. 113.).

Hunter zgadza się z Wolffem, którego dzieł nie znał prawdopodobnie i twierdzi że „bez względu na to, czem jest życie, nie zależy ono jednak z pewnością od organizacyi.“

Bez wątpienia nie można przypuszczać, aby Hunter zaprzeczał, iż w procesach życia zachodzą zjawiska czysto mechanicznej natury. Rozważając zjawiska absorbcyi, trawienia i wydzielania, tak samo jak to czynili Boërhave i Borelli, różni się on jednak od tych przedstawicieli kartezyuszowskiego poglądu, którzy wszystkie te zjawiska objaśniali mechaniczną naturą maleńkich naczyń, ich układem, średnicą, położeniem otworów i t. d. Hunter przeciwnie, wszystkie te zjawiska uważa za wynik własności małych naczyń, lecz własności nie *mechanicznych* a *życiowych*. „Naczynia, mówi on, z pomiędzy wszystkich części organizmu są najpodobniejsze do polipów.“ Następnie mówi on o „własnościach życiowych i czuciowych, właściwych tętnicom“ a nawet o „usposobieniu i wrażeniach tętnic.“ „Gdy krew jest dobrą i naturalną — wrażenia są przyjemne... Wtedy to krew zostaje najlepiej spożytkowaną—wartość całości zostaje powiększoną—straty zostają nagrodzone i dobra ekonomia jest zachowaną.“ Rozwijając logicznie pojęcia Huntera dojdziemy do wniosku, że życie wysoko uorganizowanego zwierzęcia, należy uważać za sumę życia pojedynczych naczyń. Każde naczynie jest wedle niego jednostką fizyologiczną, podobną do polipa — zarówno zdrowy jak i chorobliwy przebieg życia jest wedle niego wynikiem normalnego działania naczyń. Tak więc Hunter zajmuje stanowisko na pół drogi pomiędzy Borelim i Bichat'em. Twórca anatomii ogólnej zwyciężył Huntera w jego dążeniu do wykluczenia mechanicznego poglądu na zjawiska życia, uwzględnia on je jedynie przy traktowaniu fizyologii zmysłów, po za którymi, jego zdaniem, fizyologia nie ma nic wspólnego z fizyką.

„Stosować nauki fizyczne do fizyologii, mówi on, — to znaczy objaśniać ciała żyjące prawami ciał bezwładnych. Jest to zasada błędna — wszystkie więc jej wyniki należy wrzucić w kąt. Zostawmy chemii jej powinowactwo, fizyce — jej sprężystość i jej ciążenie, w fizyologii posługujmy się tylko kurczliwością i wrażliwością. (*Anat. gen.* p. 54.)

Z pomiędzy wszystkich twierdzeń tego znakomitego człowieka — ostatnie jest najmniej szczęśliwe. Jeśli pomyślimy dziś o postępach fizyologii — to przyjdziemy do wniosku zupełnie usprawiedliwionego, że każdy nowszy podręcznik fizyologii— składa się dziś w połowie przynajmniej z praw fizycznych i chemicznych — i że na naukę o kurczliwości i wrażliwości fizyka wraz z chemią wywarły wpływ najpotężniejszy.

Pomimo to Bichat oddał wielkie usługi fizyologii — wygłaszając pogląd, że to, co nazywamy życiem w wysoko uorganizowanem zwierzęciu, nie jest bynajmniej jakąś uosobioną jednostką, lecz syntetycznym zbiorem przejawów niezależnego życia rozmaitych części organizmu.

„Każde zwierzę jest zbiorem najrozmaitszych organów, z których każdy działając w sobie właściwy sposób, przyczynia się do utrzymania całości. Organy są to jak gdyby maszyny częściowe, składające całość jednej wielkiej machiny. Te to właśnie częściowe maszyny składają się z najrozmaitszych tkanek, stanowiących bezsprzecznie elementy organów“ (*Ibit.* p. 79.).

Idea samodzielnego życia [1]) może się stosować tylko do tych elementarnych tkanek, nigdy zaś do złożonych, całkowitych organów (*Ibid.* p. 84).

Bichat stosuje tę *syntetyczną teoryę życia*, jeśli mi ją wolno tak nazwać, do patologii. Ponieważ choroby są to poprostu zmiany własności życiowych, ponieważ nadto rozmaite tkanki różnią się pod względem tych własności, więc rzecz prosta, iż muszą się

[1]) To jest przekonanie o samodzielnem występowaniu wszystkich zjawisk życia w drobnych częściach organizmu (P. T.).

— Nie płacz królowo! Zapominasz, że jestem Delfinem a Delfin nie może umrzeć w podobny sposób.

Królowa płacze jeszcze głośniej, tak że obawa zdejmuje młodziutkiego Delfina:

— Ach dość już tego! szepcze. Ja nie chcę umierać i potrafię stawić opór śmierci, gdy poważy się wejść aż tutaj! Niech czterdziestu najdzielniejszych rycerzy ze straży przybocznej, gotowych na naszą obronę, zajmie tutaj posterunki... niech sto armat i sto artylerzystów z zapalonymi lontami stanie pod naszemi oknami, niech dzień i noc czekają naszego rozkazu! Biada śmierci, gdy ośmieli się zbliżyć do naszego łoża...

Królowa nie śmie sprzeciwić się życzeniom potomka, wydaje rozkazy i oto, prawie w tej samej chwili, słychać huk i turkot zataczanych dział na dziedzińcu pałacu a czterdziestu olbrzymich, uzbrojonych od stóp do głowy gwardzistów, zajmuje w około salę... Stare to wiarusy, z siwymi wąsami. Ujrzawszy ich, maleńki Delfin klaszcze w ręce z radości. Poznał jednego i krzyknął:

— Wawrzyniec! Wawrzyniec!

Żołnierz postąpił krok naprzód.

— Kocham cię bardzo, mój stary Wawrzyńcze! Wydobądź z pochwy twój potężny miecz! Jeżeli śmierć zbliży się aż do mnie, i zechce pochwycić... tnij na prawo i lewo... Wszak zabić ją trzeba! Co!

— Zabiję, Wasza Królewska Wysokości; odpowiada gwardzista, a dwie łzy, jak dwie wielkie perły stoczyły się po opalonej twarzy wiarusa.

W tej chwili do Delfina przybliża się spowiednik i ukazując na wizerunek Chrystusa, coś długo szepcze mu na ucho. Delfin słucha z mocnem zdziwieniem a potem nagle przerywając, woła:

— Doskonale zrozumiałem cię ojcze, ale jeżeli się zapłaci grubo... wreszcie czyliż mój przyjaciel Beppo nie może umrzeć w miejsce moje?

Spowiednik znowu szepcze mu coś do ucha, a na twarzy Delfina coraz większe maluje się zdziwienie.

Nareszcie, skoro spowiednik skończył swoją mowę, maleńki Delfin odpowiada mu, głęboko wzdychając:

— Wszystko, co słyszałem od ciebie, ojcze, bardzo smutne, ale tylko jedno mię pociesza, a mianowicie: że tam, w niebie, w nadziemskim raju, znowu będę Delfinem. Wiem, że Bóg... mój dobry przyjaciel i niezawodnie nie zapomni o mojem królewskiem pochodzeniu...

Następnie dodał, zwracając się do matki:

— Każ przynieść mi najlepsze ubranie... mój gronostajami podbity płaszcz, jedwabne, balowe trzewiki; chcę ustroić się do aniołów i wystąpić w raju w całym przepychu prawdziwego Delfina...

Po raz trzeci spowiednik nachyla się do maleńkiego Delfina i znowu coś bardzo długo szepcze mu na ucho.

— W takim razie, odpowiada z gniewem Delfin, być królewiczem lub zwykłym, pospolitym człowiekiem wszystko jedno!

I nie chcąc dalej słuchać przemowy spowiednika odwraca się do ściany i gorzko... gorzko... płacze!

II.

Na łonie natury.

Pan Prefekt objeżdża prowincyą. We wspaniałej karecie, z forysiem na wysokim koźle, z lokajem z tyłu powozu, pan Prefekt spieszy na zebranie gminne w Combeau-Feu. Na tak solenną uroczystość pan prefekt wystąpił w haftowanym złotem

one także różnić i chorobami, jakim ulegają. W jakimkolwiekbądź organie, złożonym z rozmaitych tkanek, jedne mogą być choremi, inne zaś mogą pozostać zupełnie nienaruszonemi, co istotnie ma miejsce w największej liczbie wypadków.

Bichat wygłosił nawet prawdziwie prorocze zdanie, że anatomia patologiczna wejdzie z czasem na zupełnie nowe tory. Szczegółowy rozbiór organów doprowadził do poznania tkanek, tych fizyologicznych jednostek sumy zwanej organizmem. Następne pokolenie, badając tkanki, doszło do poznania komórki, tej fizyologicznej jednostki sumy, zwanej tkanką. Współczesne badania historyi rozwoju doprowadziły do tych samych rezultatów. Zarówno zoologowie, jak i botanicy, badając najprostsze i najpierwotniejsze formy istot ożywionych, przyszli do zupełnego stwierdzenia teoryi komórkowej, chociaż przeciwne na pozór poglądy fizyologów występowały z nią (teoryą komórkową) do walki, aż do połowy ostatniego wieku.

Nie sposób jest nie uznać, że pogląd Descartes'a, uważający istotę żyjącą za maszynę, której działanie można objaśnić na zasadzie znanych praw materyi i ruchu, zawiera w sobie bardzo wiele prawdy. Lecz z drugiej strony niemożna zaprzeczyć, że ciało każdego żywego organizmu składa się z niezliczonego mnóstwa jednostek fizyologicznych, do których można w zupełności zastosować zdanie Wolffa, że są „płynem, mającym *vis essentialis* i *solidescibilitas*." Tłomacząc to orzeczenie Wolffa na powszechnie używany dziś język — wypadnie nam powiedzieć, że każdy element fizyologiczny zawiera w sobie *protoplazmę* (pierwoszczę), ulegającą charakterystycznym metamorfozom i matabolizmowi (zmianom czynnościowym). Jeśli więc zapragnęlibyśmy dzisiejsze nasze wiadomości podciągnąć pod pogląd Descartes'a — tedy jego *maszynę* moglibyśmy odszukać tylko w tem, co układa jednostki fizyologiczne w jedną całość organiczną i skierowywa ich funkcye ku jednemu celowi życia.

W rzeczywistości ciało istoty żyjącej jest maszyną, którą można porównać do armii, lecz nigdy do zegaru lub maszyny hydraulicznej. W tej armii żołnierzem jest komórka, brygadą jest organ; ośrodki nerwowe stanowią kwaterę główną i sieć telegraficzną — układ naczyniowy jest intendenturą. Straty zastępują nowozaciężni rekruci. Życie więc osobnika można porównać do kampanii, prowadzonej zwycięzko, lecz kończącej się niechybną porażką, którą na długo przewidzieć można.

Wartość armii w danej chwili zależy z jednej strony od zdrowia żołnierzy, z drugiej zaś od doskonałości systematu, przygotowującego ją do walki na dany znak. Tak więc, jeśli nasza analogia jest trafną, możemy twierdzić, iż są dwa rodzaje chorób — jedne będą skutkiem nienormalności w jednostkach fizyologicznych, — drugie zaś wynikną ze zmian w mechanizmie koncentrowania życia i dostarczania mu materyału.

Powstanie teoryi komórkowej w biologii musiało w logicznem następstwie wywołać zrodzenie się patologii komórkowej.

Tak więc związek między medycyną i biologią jest jasno określony. Patologia nauką jest tą częścią biologii, która bada perturbacye (uchylanie się od normy) w życiu komórek i w mechanizmie porządkującym ich czynności; wszelkie uchylanie się od normy obu tych rodzajów zjawisk warunkuje wystąpienie choroby.

Ci, którym nie jest obcym dzisiejszy stan biologii, zgodzą się z pewnością na to, że pogląd, uważający życie zwierzęcia za zbiór przejawów życia oddzielnych komórek, działających harmonijnie w celu utworzenia jednolitej całości, jest ważną i piękną zdobyczą fizyologia. Lecz ostatnie strzały walki pomiędzy teoryami animistów i fizyków godzą dziś już w inny punkt — tyczą mianowicie pytania, czy analiza zjawisk życia może postąpić jeszcze dalej?

Niektórzy utrzymują, że protoplazma ma te własności, które Harwey przypisywał niegdyś krwi: *Summa cum providentia et intellectu in finem certum agens, quasi ratiocinio quodam*. Oni to, z równą jak Bichat niechęcią odtrącają wszelkie usiłowania zrozumienia i zbadania zjawisk wzrostu, metabolizmu i kurczliwości — oni to błądzą w dalszym ciągu tak samo, jak błądzili starożytni i tylko w skutek demokracyi, którą jeden z wielkich pisarzów uważa za cechę bieżącego stulecia, — zastępują oni jedną wielką monarchiczną duszę (*anima*), przez miliardy maleńkich duszek (*animulae*), nader demokratycznych i burzliwych.

Inni przeciwnie, ożywieni gorącą wiarą w możność zastosowania wszędzie zasad Kartezyuszowskich, i widząc, że zjawiska życia są ostatecznie tylko zmianami w położeniu cząstek materyi, ufają fizyce cząsteczkowej i liczą na nią, że im pomoże do zrozumienia protoplazmy i objaśnienia jej mechanizmem molekularnym. Jeśli teorye fizyczne są choć trochę prawdziwe — to ta olbrzymia przepaść, jaką upatrywał Bichat pomiędzy materyą żywą i martwą — nie istnieje w rzeczywistości.

W przyrodzie nie ma spoczynku, nie w niej nie jest bezkształtnem. Najdrobniejsza, elementarna cząstka tego, co ludzie ciemni zwą „materyą surową" — jest olbrzymim zbiorem mechanizmów molekularnych, wykonywających bardzo złożone ruchy z zadziwiającą szybkością — i przystosowywujących się z cudowną doskonałością do wszystkich zmian w świecie zewnętrznym. Żywa przyroda różni się od martwej tylko w stopniu, a nie w rodzaju; mikrokosmos jest podobny zupełnie do makrokosmu, cały łańcuch połączeń i przyczyn jednoczy mgławicę—rodzicielkę słońc i układów planetarnych z protoplazmatycznemi tworami życia i organizmu.

Z tego punktu widzenia patologia zupełnie odpowiada tej części astronomii, która bada perturbacye. Terapia ma na celu wynalezienie sposobów, z pomocą których możnaby wprowadzić do organizmu pewien systemat sił, zdolnych do usunięcia wszystkich perturbacyi. Terapia opiera się na farmakologii, zupełnie tak samo jak patologia — na normalnej fizyologii. Farmakologia zaś jest tylko tą częścią biologii, która bada wpływ rozmaitych czynników na organizm żyjący — po za fizyologią nie daje się usprawiedliwić naukowo istnienie farmakologii.

Sądzę, iż nic nie może lepiej wykazać wielkiego postępu medycyny ku ideałowi, wskazanemu przez Descartes'a, jak porównanie dzisiejszej farmakologii z tą, jaką ona była czterdzieści lat temu. Dość jest tylko zwrócić uwagę na postęp w poglądach o działaniu (*modus operandi*) atropiny, weratryny, strychniny, bromku potasowego, fosforu, by nabrać przekonania, że prędzej czy później, — dziś lub jutro — farmakolog przyjdzie z pomocą lekarzowi i wskaże mu sposób, w jaki ma działać, aby wywołać w danej części organizmu żądane skutki. Można będzie z czasem wprowadzać do organizmu, coś w rodzaju dobrze skierowanej torpedy, która dojdzie do danych części organizmu, wybuchnie śród nich i zniszczy to, co zniszczyć zechcemy— nie dotykając swą eksplozyą części okolicznych.

Usiłowania, dążące do wyjaśnienia stanów chorobnych za pomocą zmian w życiu komórek, poznanie znaczenia pasorzytów dla etiologii chorób, objaśnienie działania leków, za pomocą naukowych metod fizyologii — wszystko to, mem zdaniem, zwiastuje olbrzymi postęp od czasu wprowadzenia medycyny na tory naukowe. Dodać muszę—iż postęp ten nie byłby możliwym bez postępu normalnej biologii.

Nie może więc być żadnej wątpliwości o wysokiem znaczeniu związku pomiędzy medycyną i naukami biologicznemi. Cała

---

mundurze, w kapeluszu z pióropuszem, w pantalonach z szerokimi ze srebra galonami, z przypasaną do boku szpadą o rękojeści z perłowej macicy. Na kolanach dygnitarza spoczywa ogromna teka, ze skóry z szagrenu, z ozdobnemi odciskami, na którą spogląda smutnym, zamyślonym wzrokiem.

Pan Prefekt ze smutkiem spogląda na tekę ze skóry z szagrenu, z ozdobnemi odciskami. W myśli powtarza już świetną mowę, jaką, za przyjazdem do Combe-au-Feu, powita zebranych:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!"

W nadmiarze zapału, pokręca jedwabiste, barwy ceglanej, wielkie faworyty i dwudziesty raz z rzędu deklamuje: „Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele." Mimo to przecież nie może dojść do końca owej świetnej przemowy.

Z dalszym ciągiem oracyi jakoś tępo idzie! Ach tak gorąco w tej przebrzydłej karecie! Droga do Combe-au-Feu, o ile wzrok nie myli, przedstawia się jak płaski obłok pyłu, przeświecający tu i owdzie promieniami słońca. Powietrze rozpalone. Tysiące koników polnych krzykliwem skrzeczeniem wita się wzajemnie, obsiada chmarą młodziuchne krzewy, rosnące nad drogą a od wierzchu do spodu przysłonięte nieznośnym kurzem, tak lotnym jak pyłek mąki... Nagle pan Prefekt zadrżał! Tam, w dali, u podnóża pagórka spostrzega niewielki gaik; wysokie dęby, zielonemi listkami, ramionami swych gałęzi przyzywają go do siebie, wabią.

Maluchny gaik, uśmiechnięty zielenią, świeży, woniejący, zaciszny pociąga go ku sobie urokiem jakby wołał:

— Chodźcie do mnie p. Prefekcie! Tutaj, w cieniu mych drzew, daleko wygodniej — swobodnie płyną myśli i tworzą się wielkie uroczyste mowy!

Pan Prefekt zachwycony.

Wyskakuje z karety, nakazując służbie, ażeby zaczekała na niego, gdyż idzie do małego dębowego gaju, celem ułożenia okolicznościowej mowy.

W maluchnym, dębowym gaiku, pełno ptactwa, fiołków i strumyków, szemrzących rozkosznie pośród miękkiej murawy... Kiedy pan Prefekt w srebrnych galonach i w hafcie ze złota, z wielką teką pod pachą ukazał się w lasku... ptactwo zamilkło z obawy, strumyki ucichły, fiołki ukryły wonne główki w trawkę zieloną. Cały ten mały światek nie widywał nigdy panów prefektów; obywatele leśni pytają siebie nawzajem, — przyjaciel przyjaciela, sąsiad sąsiada zapytuje, szepcąc: kto to jest ten wielki pan, przechadzający się po lasku w mundurze haftowanym złotem, w pantalonach, ozdobionych szerokim galonem ze srebra?

Słychać donośne szepty w gęstwinie: kto to jest ten wielki, wspaniały pan w mundurze haftowanym złotem, w pantalonach ozdobionych szerokim galonem ze srebra?

Tymczasem pan Prefekt, zachwycony ciszą i świeżością lasku, kładzie na trawie kapelusz z wielkim pióropuszem, podwija poły munduru i siada na mchu pod cieniem młodego dębu; potem otwiera spoczywający na kolanach porftel i wydobywa wielki arkusz papieru.

— To artysta! — woła makolągwa.

— Nie — odpowiada pliszka, to nie artysta, ponieważ ma pantalony z wielkim galonem ze srebra; prędzej to jakiś książe.

— Ani artysta, ani książe — wtrąca głośno stary słowik, który przez całe lato śpiewał w ogrodzie prefekta; ja wiem, kto to taki... to... prefekt!

przyszłość patologii i terapii, a więc i medycyny praktycznej zależy od większej lub mniejszej gotowości medyków w stosowaniu ogólnych zasad biologii.

Na zakończenie pozwolę sobie dodać, że trudno o poważniejsze zadanie dla kongresu lekarzy nad to, by postarał się on wykazać szczegółowo, w jaki sposób należy prowadzić studya medyczne, aby uczeń mógł nabyć jaknajgłębszych wiadomości o życiu roślinnem i zwierzęcem, bez których, pomimo olbrzymie postępy medycyny naukowej — musi niestety pozostać prostym empirykiem.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

I.

Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki. Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku, przez *Aleksandra Kraushara*. Warszawa i Kraków, 1882 r. 8-a. tom I, str. 273, tom II, str. 200.

W rzeczypospolitej XVI stulecia kilku z rodziny Łaskich pozycye zajęło wpływowe i w sprawach publicznych rolę odegrało wydatną. Na przodzie stoi kodyfikator prymas, zręczny w robotach dyplomatycznych, intrygach i pierwszy w Polsce papieski *legatus natus*; tuż za nim idą synowce: Hieronim, Stanisław i Jan, z których pierwszy posłował do Niemiec i Turek, drugi—przy boku króla francuskiego, Franciszka I, walczył we Włoszech i przeszedł niewolę, aż, do ojczyzny wróciwszy, za jej sprawami jeździł do obcych; trzeci, proboszcz gnieznieński, pojął niewiastę, przebywał w Anglii, Danii i Niemczech, walczył z katolicyzmem i nowe organizował kościoły. Syn Hieronima, Olbracht, urodzony w r. 1533, z Anny z Rytwian Kościeleckiej w kesmarskiem zamczysku na Spiżu, tyle w życiu głośnych naczynił awantur, tyle hałasował i broił, że dziejopisa duża chęć bierze o przypadłościach jego grubą napisać księgę, pospolitemu zaś człeku z bohatyrem takim przystoi poznać się bliżej.

W dziewiątym roku życia osierocony przez ojca, w dziewiętnastym przez matkę, dziedzic dóbr wielkich na Węgrzech i w Polsce, na zamku kesmarskim na rozrywkach płochych czasu nie trawił. Oprócz rycerskich harców i ćwiczeń w językach a dziejach, za wpływem głośnego Szlązaka, Adama Schroetera, studyował medycynę i chemię, wtajemniczał się w nowe filozoficzne kierunki i został kalwinem. Choć się w r. 1558 ożenił z wdówką bogatą i ładną, rychło jednakże ponęty uciech małżeńskich odepchnął, a zamarzył o sławie. Przybył właśnie do Polski awanturniczy pretendent do hospodarstwa w Mołdawii, Jakób Heraklides, i z Olbrachtem bliższy zawiązał stosunek. Chciwy wojennych laurów, zobowiązał się Łaski własnem staraniem panującego hospodara, Aleksandra, wypędzić, na jego miejscu Heraklidesa posadzić, wymawiając sobie korzystną w Mołdawii pozycyą i zwrot kosztów wojennych. Poparty przez dysydencką szlachtę małopolską, zamierzającą, przy zmianie stosunków, wyznanie swoje rozkrzewić w Mołdawii, Łaski, wbrew interesom rzeczypospolitej, w r. 1561 z Kesmarku wyruszył na boje. Po walnej utarczce, Heraklides zajął Soczawę i objął rządy, protektor zaś jego został wodzem naczelnym i znaczne w nagrodę otrzymał dobra. Rychło jednakże pomiędzy przyjaciółmi przyszło do waśni. Skoro hospodar nie chciał wypłacić żądanej sumy kosztów wojennych, Łaski postanowił się zemścić: zamierzył zrzucić z tronu Heraklidesa, a na jego miejscu posadzić osobę własną. Że się w Mołdawii nowy zjawił przeciwko Heraklidesowi pretendent, przeto nasz Olbracht, korzystając z zamętu, z księciem Dymitrem Wiśniowieckim co prędzej wtórą na ową krainę przedsięwziął wyprawę. Smutny przecież awanturnictwa tego był koniec: książę Dymitr wpadł w ręce turków i w Konstantynopolu skonał na haku; Łaski, straciwszy nadzieję urzeczywistnienia swych marzeń, powrócił z niczem.

Po śmierci pierwszej żony, Katarzyny Seredy, związał się ślubem małżeńskim z naturalną córką Zygmunta I, z pięćdziesięcioletnią Beatą z Kościeleckich Ostrogską, matką spiewanej rymami księżniczki Halszki. Po weselnych uciechach zmusił małżonkę do darowizny dóbr wszystkich, poczem, jakby więźnia, w Kesmarku ją zamknął, sam zaś, wojewodą sieradzkim zostawszy, na szerokie pole działalności publicznej się rzucił. Pod Oczakowem rozgromił tatarów, przez co zasłynął w prosie i wierszach; na sejmie lubelskim w r. 1569 perorował za unią i dowodził potrzeby przepisów na wypadek elekcyi, a oprócz tego gorący brał udział w religijnych dysputach i sporach. Znać silnych przekonań nie miał, albowiem z nuncyuszem Commendonim i z Hozyuszem w stosunkach zostawał bliskich i z gorliwego kalwina przedzierzgnął się nagle w gorliwego również papistę. Na czynione przez dyssydentów wyrzuty, tak żarliwie katolicką rzucił odpowiedź, że Hozyusz nawróconą owieczkę w listach swoich wyniósł pod niebo, a papież błogosławieństwo przysłał w nagrodę. Jednocześnie niósł pan wojewoda sieradzki służby swoje Tarnowskim i w sporze o dziedzictwo z hajdukami napadał na Tarnów; na własną rękę wchodził w układy z Wenecyą względem wyprawy na Turka, przyczem marzył o panowaniu w Mołdawii; gdy zaś ostatni Jagiełło dogorywał w Knyszynie, z agentami obcych monarchów zawiązywał stosunki, na różnych siadywał stołkach. — służył wszystkim i od wszystkich pobierał jurgielty. Wraz z Commendonim i Zborowskimi, natychmiast po skonie Zygmunta Augusta, zamierzał wojewoda wynieść do tronu jednego z synów cesarza i z Maksymilianem korespondował najtkliwiej; skoro jednakże Katarzyna Medycejska trząsnęła workiem, zaraz przeskoczył na stronę francuza, co nie przeszkadzało mu przecież dawnemu panu służyć i nadal, a nawet samemu z własną kandydaturą wystąpić. Po obiorze Henryka, pojechał Łaski w poselstwie do Paryża, gdzie, za wpływem Hozyusza i papieża, nalegał na króla, iżby pokoju religijnego, uchwalonego podczas bezkrólewia, nie uznał; zawiązał współcześnie w stolicy Francyi romansik i po powrocie do kraju pojął znowuż niewiastę, pomimo tego, że na zamku w Kesmarku żyła jeszcze staruszka Beata.

Po ucieczce Henryka, z francuzem Łaski nie zrywał, szukał przecież stołka drugiego i wszedł w stosunki z cesarzem; korzystając z chaosu bezkrólewia, Lanckoronę najechał zbrojnie i z rąk dożywotniczki ją wydarł; w zatargach sąsiedzkich porywał szlachtę i torturami ją męczył, — prawu urągał i rozdmuchiwał pożar wojny domowej. Na elekcyi trzymał stronę Maksymiliana, po którego okrzyknięciu, jeździł do niego w poselstwie, prosząc, iżby bez zwłoki armię wysłał do Polski dla poskromienia „buntowników“ t. j. Batorego przyjaciół; wróciwszy do kraju, zamierzał przeciwko Stefanowi wystąpić zbrojnie, — werbował i gromadził oręże. Upadek Maksymiliana wielkim dla Olbrachta był ciosem: wyzuty z Lanckorony i pozbawiony dochodów, w czerwcu r. 1576 Polskę opuścił.

Z zagranicy pobudzał Gdańszczan do buntu, od cesarza Rudolfa brał za posługi pieniądze, ordery i wino; nagabnięty nawet został przez Iwana Groźnego, iżby namówił Austryę do najazdu na Polskę. Na

---

I nagle rozległ się szept po całym lasku:

— To prefekt! To prefekt!

— Jaki on łysy! — czyni uwagę skowronek z dużym czubkiem.

Fiołek pyta:

— Czy to co złego?

— Bynajmniej — odpowiada stary słowik i w tem mniemaniu, ptaki nanowo zaczynają urwaną piosenkę, fiołki napełniają wonią powietrze, szemrzą uroczo strumienie... jak gdyby tego jegomości wcale tu nie było.

Niebiorąc udziału w przyjemnym rozgwarze, pan prefekt myślą przyzywa boginię wymowy i podniósłszy do góry wskazujący palec, zaczyna deklamować patetycznym tonem:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele“ — powtarza prefekt patetycznym tonem. Wybuch śmiechu tamuje dalszą mowę. Obraca się w około, ale nic nie widzi, oprócz wielkiego, zielonej barwy dzięcioła, który usiadłszy na jego kapeluszu, szyderczo patrzy mu w oczy. Pan prefekt wzrusza ramionami, chce kończyć rozpoczętą mowę, ale dzięcioł znowu mu przerywa i zdala odzywa się do niego: „Czego żądasz?“

— Jakto? — pyta zdumiony prefekt, oblewając się szkarłatnym rumieńcem; a następnie odganiając nieznośnego natręta— mówi z większym jeszcze patosem:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!“ — zaczyna prefekt z większym jeszcze patosem... ale oto maluchne fiołki chylą ku niemu wonne główki, szepcząc cicho:

„Panie prefekcie, czy i tobie tak dobrze tutaj jak nam?“

Strumyki, płynące pod mchem, szemrzą mu czarującej melodye; pośród listków ukryte makolągwy dzwonią donośną, wdzięczną pieśń i cały lasek grzmi zbiorową harmonią, jakby naumyślnie chciał mu przerwać myśli i niedopuścić do utworzenia powitalnej mowy.

P. Prefekt, upojony wonią i melodyą lasu, nadaremnie broni się urokom i nieznanym czarom. Rzuca się na trawę, rozpina mundur, błyszczący złotem i jeszcze raz, czy dwa powtarza niezrozumiale:

„Miłościwi panowie i drodzy moi współobywatele!... Miłościwi panowie i drodzy moi współ... Miłościwi panowie i drodzy...“ Nareszcie... drogich współobywateli... odsyła do dyabła... a muza wymowy... rąbkiem dziewiczym... osłania oblicze... które wstyd rumieni...

O tak, bogini wymowy... osłoń oblicze swoje... rąbkiem dziewiczym... ukryj wstyd rumieniący twoje jagody!... Bo oto... mijały godziny, służba w trwożnej obawie czekała na pana, a gdy wiedziona śmiertelnym niepokojem weszła nareszcie do dębowego gaju, dziwna scena przedstawiła się jej oczom:

Pan Prefekt, z włosem w nieładzie, w rozpiętej na piersiach, jak cygan koszuli, leżał na trawie na brzuchu: zrzuciwszy mundur haftowany złotem, mnąc w palcach wonne fiołki... on... prefekt... pisał sonet... tworzył wiersze jak student.

S. M.

propozycyę taką wstrząsnęła się dusza Olbrachta, więc „chłopie!“—do posła moskiewskiego zawołał; — „by mi nie szło o dwór carski, tedybym ci ten list dał zjeść z czemś niesmacznem i nauczyłbym cię ludzi uczciwych doświadczać... Aleć tak powiadam: nie noś mi drugi raz takiego, bo pewnie zjesz...“ Wkrótce, czy z przyczyny skrupułów, czy dla korzyści, wrócił do kraju, Batorego przeprosił i w sprawach krajowych znowu żywy wziął udział.

W r. 1583, niewiadomo dla czegoipo co, odbył podróż do Anglii. Jako książę Albert Alasco zyskał względy królowej Elżbiety; podczas zwiedzania okolic Anglii przez uczonych i mieszczan podejmowany był hucznie; przysłuchiwał się w Oxfordzie dyspucie Giordana Brunona z miejscowym światem uczonych i osobisty nawet w dyskusyi, dotyczącej systemu Kopernika, brał udział. Nadwyrężone mając kieszenie, z alchemikami poszukiwać począł kamienia filozoficznego; skoro zaś próby spełzły na niczem, przed natarczywością wierzycieli uciekł z Angli tajemnie. Po powrocie do kraju, podczas nowego bezkrólewia, stawiał Łaski po raz trzeci kandydaturę swoją do tronu, wszedł w końcu w stosunki z Zamojskim i popierał Zygmunta. Wynagrodzony za usługi starostwem, podczas zatargów króla z Karolem Sudermańskim, odbył podróż do Szwecyi, a w r. 1605 — burzliwego życia dokonał.

II.

Dla nakreślenia wizerunku Łaskiego przedsięwziął p. Kraushar poszukiwania mozolne i kosztujące niemało: szperał po różnych, zagranicznych przeważnie archiwach; wertował druki stare i nowe, krajowe i obce. Materyału nowego zgromadził dużo, nie odszukał jednak wszystkiego, co więcej — nie wyzyskał rzeczy, zawartych w artykułach i książkach.

Podanych w rozprawce Malinowskiego p. t. *Jakób Heraklides i Olbracht* (*Teka wileńska* z r. 1858, n. t. III, str. 135 — 183) tak cyfr jak faktów, p. Kraushar nie zużył: nie wytłomaczył np. skąd bohater na wyprawę mołdawską werbował żołnierzy i nie przytoczył ich liczby; nie określił należycie stosunku Olbrachta do Heraklidesa, gdy ostatni objął już rządy; nie wyłuszczył wszystkich powodów powrotu Łaskiego do kraju i t. p. Wogóle rozdział VII tomu pierwszego dzieła p. Kraushara, w porównaniu z rozprawką Malinowskiego, tak pod względem bogactwa faktów, jak i przedstawienia motywów, kierujących ruchami osobistości naczelnych, bladym jest bardzo. Nie skorzystał również szanowny autor i z korespondencyi Commendoni'ego. W liście do kardynała Karola Boromeusza z d. 21 stycznia 1564 r., taką znajdujemy wiadomość: „W tej chwili dało się słyszeć od sługi pana Łaskiego, że w tych dniach multani, trzymający w oblężeniu despotę w twierdzy Soczawie, umawiali się z żołnierstwem węgierskiem, które despota sprowadził był dla swojej straży i skłonili je nakoniec do wydania i despoty i twierdzy, przyrzekając mu, czego żądało; lecz kiedy przyszło do wykonania umowy, nowo-obrany wojewoda przez multanów (Tomża), rozkazał ściąć głowę despocie (Heraklidesowi), a razem i wielkiej części węgrów; polakom zaś, niemcom i kilku włochom, znajdującym się w tejże straży, poobcinano nosy i uszy. Pan Łaski, dowiedziawszy się o tej umowie, udał się był w 1,500 ludzi, lecz już było po czasie, bo wspomniany nowy wojewoda przeciwko niemu wysłał 3,000 ludzi, aby go rozgromić; lecz miał jeszcze zręczność cofnąć się i ocalić, nie utraciwszy tylko trzech czy czterech ze swoich“ (*Pamiętniki o dawnej Polsce*. Wilno, 1851. T. I, str. 35). Listy: z d. 10 lutego, z 3 marca i 12 kwietnia 1564 r. (*Tamże*, str. 58, 70 i 124) dotyczą sprawy Chocimia, który Łaski w swojem miał ręku; pod datą zaś 7 marca czytamy pogłoskę (*Tamże*, str. 82), „że p. Łaski napadł i rozbił 800 jazdy Tomży, wojewody, ściganego przez Aleksandra i że uwięził samego Tomżę i Marichę, oraz innych główniejszych wychodźców wołoskich.“ Czy Olbracht województwo sieradzkie otrzymał po stryju Stanisławie (*Kraushar*, I str. 83), mamy wątpliwość, wobec listu Commendoniego z d. 3 grudnia 1564 r., w którym czytamy wzmiankę o wojewodzie sieradzkim, Januszu Kościeleckim, (*Pamiętniki*, I str. 233). Pogłoski, zawarte w listach, choćby niektóre były i błędne, malują stopień natężenia owego interesu, jaki Łaski awanturniczą wyprawą budził w ojczyźnie; inne znów szczegóły na wypełnienie obrazu wpłynąćby mogły korzystnie.

Do udziału Łaskiego w sprawach pierwszej elekcyi, nie korzystał znowu p. Kraushar z rozprawki Wierzbowskiego p. t. *Zabiegi Cesarza Maksymiliana II o koronę polską 1565 — 1576* (*Ateneum* z r. 1879. T. III str. 407 — 446. T. IV str. 51 — 89). Ponieważ rozprawka owa jest „streszczeniem materyałów, zebranych w archiwum cesarskiego domu, dworu i państwa w Wiedniu,“ dobrą przeto daje wskazówkę, o ile autor dzieła o Łaskim, z tegoż samego czerpiący źródła, odnośne dokumenty wyzyskał i czy dokładnie rolę Olbrachta na schyłku panowania Zygmunta Augusta i później przedstawił. Otóż, umieściwszy Łaskiego pomiędzy wpływami Austryi i Francyi, p. Kraushar niedość wyraźnie środki, ku skaptowaniu wojewody podjęte przez dwory, zaznaczył i zamało zgromadził materyału, by postępowanie Łaskiego przedstawić rzetelnie. Szanowny autor o ważnej misyi ajenta austryackiego, Stoltz'a, bardzo mało umiał powiedzieć, tymczasem wpływ jego do tego stopnia był ważnym, że dzięki jemu Łaski, otrzymawszy 12,000 złotych, z cesarzem i posłami w stosunki wszedł bliskie i zdawał się być zdecydowanym stanowczo do wyłącznego służenia Habsburgom. (*Ateneum* z r. 1879. T. III, str. 430, 435). W pierwszych dniach stycznia 1573 r. za posadzenie na tronie Ernesta następujące podyktował warunki: 1) dostanie orderu złotego runa; 2) ziemię wołoską w wielkorządztwo; 3) starostwo spiskie; 4) pewną sumę gotowymi pieniędzmi; 5) przyszły król zapłaci jego długi. „Na te warunki cesarz odpowiedział, że jeżeli za przyczyną Łaskiego, Ernest będzie obrany na króla, to, co się tyczy I-go, Maksymilian wstawi się do króla hiszpańskiego i kapituły orderu o udzielenie takowego Łaskiemu i spodziewa się, że jego wstawienie nie pozostanie bez skutku; 2) względem ziemi wołoskiej cesarz nie może wziąć na siebie zobowiązań, ani jego syn, gdyż takowa znajduje się w rękach tureckich i dla odebrania jej trzebaby z turkami prowadzić wojnę, czego, bez pozwolenia stanów, Ernest, jako król, nie mógłby zrobić; cesarz jednak za siebie i za niego obiecuje obecnie pomagać Łaskiemu w tej sprawie w przyszłości; 3) jeżeli wojewoda lubelski zrzecze się starostwa spiskiego, to ono będzie dane Łaskiemu; 4) co do gotowych pieniędzy, cesarz poleca swoim posłom wpływać na Łaskiego, ażeby cofnął ten warunek, wystawiając mu, na jakie niebezpieczeństwo siebie a imię swoje w pogardę by podał, jeżeliby się o tem dowiedziano, co nie jest niemożebnem, osobliwie w tym czasie, kiedy trudno sekreta dochować; 5) wreszcie co do długów, ręczył Maksymilian za syna, że okaże się takim, iż Łaski będzie mu tylko wdzięczny. Jak widzimy, cesarz nie przyjął stanowczo żadnego z podanych przez Łaskiego warunków, nie ofiarował mu na ich miejsce innych, a co ważniejsza — nie dał piśmiennego zobowiązania, że dopełni nawet tego, co obiecywał; mimo takiej odpowiedzi polecił posłom traktacyi z Łaskim nie zrywać i zatrzymywać go takowemi obietnicami. Lecz to nie pomogło: podobna polityka nie mogła zadowolnić wojewody sieradzkiego. Nie spodziewając się ze strony cesarza niczego pewnego, przechylił się na drugą, na którą przynęcał go francuski poseł pochlebstwem, złotem i obietnicami daleko świetniejszemi, niż cesarskie“ (*Tamże*. T. III, str. 435). Po ucieczce Henryka, znajdował się Łaski pomiędzy tymi, którzy najwcześniej cesarzowi ofiarowali usługi i 8,000 zł. otrzymał w nadgrodę (*Tamże*. T. IV, str. 54 i 60).

P. Kraushar i pamiętników Jeana Choisnin'a nie wyzyskał gruntownie, pominął np. szczegół, który hipokryzyę Łaskiego maluje wybornie. Skoro poseł francuski, biskup Montluc, stanął w Koninie, senat wydelegował Łaskiego, iżby wziął na siebie staranie o wygody francuza. Wojewoda obowiązek ten przyjął, lecz tak był oburzony na francuzów, kiedykolwiek stanął mu przed oczyma krwawy i okropny obraz rzezi, który dzień św. Bartłomieja pamiętnym uczynił, iż i razu u biskupa nie postał (*O elekcyi Henryka Walezyusza*, Wilno 1818, str. 90). Wkrótce ten sam tkliwy p. Łaski brał francuskie pieniądze, czego mu publicznie dowodzono na sejmie.

Zaniedbanie źródeł, ogłoszonych już drukiem; z drugiej strony niedostateczność materyału, wydobytego przez autora z archiwów, spowodować musiały rozliczne w wizerunku Łaskiego braki. O latach jego młodzieńczych i wychowaniu, nad ogólniki, radzibyśmy wiedzieć coś więcej. Aż do wyprawy mołdawskiej, trzyma autor Olbrachta na zamku kesmarskim, tymczasem mamy poszlaki, że wojażował po świecie. Choisnin pisze, że Łaski „długo przebywał we Francyi“ (*O elekcyi*, str. 90), naturalnie przed poselstwem w r. 1573. Kiedy i śród jakich okoliczności stał się Łaski z kalwina papistą; po co jeździł do Anglii; co go zbliżyło do Zamojskiego? — wszystko to w dziele p. Kraushara stanowi zagadkę. W ogóle szanowny autor w psychiczne pobudki działań nie wgląda, organicznego pomiędzy czynami związku nie szuka; — luźnie tylko zestawia fakty, nie nadając ważniejszym odpowiedniego akcentu. Z tego powodu w dziele p. Kraushara czytamy wiadomości o Łaskim, lecz nie znajdujemy charakterystyki człowieka; mamy w niem materyał do rysów lub rysy, nie zaś wizerunek skończony i jasny.

Chociażby autor rozporządzał materyałem kompletnym, to przecież musiałby bohater z pod pióra jego wyjść blado, bo nie zna p. Kraushar umiejętnej metody badania i dziejopisarskiego pozbawiony jest kunsztu. Dla nakreślenia postaci historycznej, przedewszystkiem przedstawić należy tło czasu. Autor potrzebę tego rozumiał dobrze, szkoda jednakże, że *tło* owo na tytułowej tylko umieścił karcie. Zdaniem naszem barwę epoki stanowi nastrój umysłowo moralny społeczeństwa; p. Kraushar rozumie to widać inaczej, zamiast bowiem owego nastroju, przedstawił historyę polityczną czasów Łaskiego. Dla zrozumienia roli bohatera i to jest potrzebnem, lecz barwy owej nie zastępuje bynajmniej. Tło czasu jest kluczem do zrozumienia człowieka, tymczasem powódź wypadków politycznych dla osobnika często stanowi odmęt. Właśnie w nagromadzonych przez p. Kraushara szczegółach politycznych, nie nowych wcale, a gęsto zbytecznych, bohater niknie. Bo też rozprawia autor o rzeczach, z głównym przedmiotem będących bez związku, jakby mu chodziło gwałtownie o napisanie dwóch tomów; z drugiej znów strony z materyałem, bezpośrednio dotyczącym Łaskiego, również w ten się obchodzi sposób, jakby mu chodziło gwałtownie o napisanie dwóch tomów. Potrzebaż było do Łaskiego pisane listy w tekście drukować w całości? czyż dokument, nadający bohaterowi starostwo, a podany *in crudo*, nie wpływa na rozwlekłość wy-

kładu? Nie masz w dziele p. Kraushara należytego ustosunkowania materyału i koncentracyi, a do tej wady przyczyniła się dużo i siekanina dzieła na drobniutkie, niegenetycznie zestawione rozdziały.

Błędów w dziele p. Kraushara znaleźć można niemało; historyczny sąd jego od wytrawności daleki jest bardzo. Czy rzeczywiście „tradycye o starodawnym kościele narodowym i języku narodowym w kościele, dzięki którego rozlegały się ongi pod nawą jednej z świątyń Krakowa“ (I, str. 35), wpłynęły na szerzenie się reformacyi w Polsce XVI stulecia? Czy zasady wyznania luterskiego w zestawieniu z kalwinizmem są istotnie „surowe i ascetyczne?“ (I, str. 38). Czy *Zimowa powieść* Szekspira dotyczy „zamierzchłych dziejów Ziemomysła polskiego“ (II, str. 220), czy też niezbyt zamierzchłych — jak dla Szekspira — czasów Ziemowita III? Biskup krakowski jeden był tylko (I, str. 330); nie godzi się utożsamiać województwa z prowincyą (II, str. 24), ziemi z powiatem (II, str. 25). Samego Łaskiego p. Kraushar przecenia mocno. Pomijając podejrzany udział Olbrachta, jaki miał, według autora, przyjąć w dyspucie Giordano Brunona, nie pojmujemy zestawienia Łaskiego z Janem Zamojskim i orzeczenia, że „obu tych mężów ożywiała jednaka dla rzeczypospolitej miłość, jednaka niestrudzona działalność...“ (II, str. 281). Zdaniem naszem, Olbracht Łaski w porównaniu z Zamojskim jest tylko karłem, a dla uzasadnienia epitetu dzieło samego p. Kraushara dostarcza dowodów aż nadto.

Śmiemy w końcu zaznaczyć wątpliwość, czy Łaski „zrodził“ dzieci (I, str. 253), a nie możemy przemilczeć, że wyrażenia: *jak skoro* (I, str. 178), *odnosił się* (I, str. 227 zamiast odwoływał), *ulagodzić* (I, str. 242), oddawać się rozkoszom *swobodnych dni* (II, str. 161), wołają o pomstę...

Wł. Smoleński.

PIŚMIENNICTWO ROSYJSKIE.

Na górach. Ciąg dalszy obrazów *w Liesach*. Opowiedział Andrzej Peczerskij. Nakładem M. Wolfa 1881 r. Petersburg i Moskwa.

Utwory literackie podobne są do śladów zostawionych na piasku.

Myśliciele przechodzą i zostawiają w książkach ślady swojego istnienia. Później spostrzegają po nich autora i, w miarę ich wartości, starają się go poznać.

Tak samo ze śladów na piasku wnioskujemy o tych, co je zostawili. W okolicach piaszczystych dziecko poznaje ślady cieląt swojego ojca. Członkowie jednej rodziny znają swoje ślady wzajemnie. Tym sposobem poznają bytność wilka, kierunek karawany, drogę lwa i strusia. Porównanie to ciągnie się daleko dalej. Utwory literackie z tem większą trudnością dają się poznać, im do dawniejszych należą czasów; ślady na piasku giną jeszcze prędzej. Ale tak samo, jak ślady, które zasychają, kamienieją i zostają na długo, dzieła umysłów ludzkich, skamieniałe w książce, służą w ciągu wieków za przedmiot badań krytycznych mikroskopów.

O ileż częściej spotykamy, przytem, ślady cieląt i kogutów niż — lwów i strusiów!

Piśmiennictwo rosyjskie zyskało w tym roku ślad, o którym warto wspomnieć na stronnicach *Prawdy*. Czterotomowe obrazy Mielnikowa p. t. *Na górach*, które się pojawiły obecnie na półkach księgarskich Petersburga i Moskwy, są dowodem żywotności rosyjskiego piśmiennictwa. Po stracie Dostojewskiego, publiczność rosyjska wodziła okiem dokoła, chcąc obliczyć siły, które jej pozostały. Oprócz znakomitości milczących, takich jak Turgieniew, na literackim horyzoncie dostrzegała ona mało punktów wybitnych. Do takich należą Sałtykow i Ostrowskij; do nich śmiało można zaliczyć Mielnikowa. Pod pseudonimem Andrzeja Peczerskiego, który wydaniem swojej powieści w osobnej szacie [1]), przypomniał o sobie obecnie rosyjskiej publiczności, ukrywa się właśnie p. Mielnikow.

Na górach — to szereg obrazów obyczajowych, związanych nicią wypadków z życia jednej rodziny. Rodzina kupca, Marka Smołokurowa, składa się z trzech osób. Sam on mieszka nad Wołgą i prowadzi handel rybą. Jego córka jest główną bohaterką opowiadania. Brat, w czasie połowu ryb na morzu kaspijskiem, uniesiony na lodowcu na morze, dostał się do Mrwu i tam zostaje w niewoli. Po śmierci Marka— przez niego wykupiony — powraca. Marko nie jest typem nowym w literaturze rosyjskiej. Takich „kułaków“ widzieliśmy nieraz np. u Szczedryna, ale nie widzieliśmy typu tak starannie wycieniowanego, jak Marko. Marko obok Duni jest pierwszorzędną postacią w tej książce: autor pokazuje go nam na tle życia z nad Wołgi i Oki około r. 1847. Przez dwa lata widzimy Marka, jak „robi“ pieniądze, ożywiony miłością dla Duni. Ten cel uświęca mu nieświadomie środki. Na scenie widzimy szereg najobrzydliwszych oszustw, popełnianych przez Marka. Zdradza on równych sobie, wyzyskuje najuboższych, a wszystko to robi z westchnieniem do nieba na ustach i z tą pociechą, że przysporzy majątku Duni. Za kulisami działy się zbrodnie, które bezwątpienia zaprowadziłyby Marka do kryminału, ale autor okazuje je tylko na chwilę przed śmiercią sprawcy. Scena, w której pełnomocnik (prykaszczyk) jego, zakradłszy się w nocy do łoża sparaliżowanego pana, przypomina mu jego zbrodnie i żąda dwustu tysięcy, grożąc, że inaczej zgubi jego córkę — jest jedną z najlepszych w tej książce. Usunięcie tych zbrodni z sceny pozwoliło autorowi wystawić w pełnem świetle drobne, a wstrętne postępki tego obywatela i rzucić światło na moralną wartość powszedniego życia rozpatrywanego typu.

W Duni, jak łatwo dopatrzeć, autor chciał uwidocznić ogólniejszą myśl społeczną. Ta dziewczyna odmalowana jest wogóle z wielkim wdziękiem. Najpiękniejsze i najdelikatniejsze barwy języka złożyły się na ten realistyczny posąg. Psychologiczna analiza przeprowadzona w niej po mistrzowsku. Ale oprócz tych stron, jest w tej postaci inna — nowa zupełnie. Beletryści rosyjscy, począwszy od piszących artykuliki do samych poetów — wszyscy wymagają dzisiaj polityki. Od tego prądu nie jest wolnym Mielnikow. W Duni uprzytomnił on spostrzeżenie, które oddawna zajmuje myślicieli rosyjskich, mianowicie, że lud rosyjski nie zadowalnia się swoją wiarą i w tysiącznych sektach szuka ujścia dla żądzy badania i zdobywania prawdy. Dunia wychowana w religii starowierców (raskoł) przechodzi do sekty chłystów. Przywiązanie do ojca i wstrętne zwyczaje tej sekty wyrywają Dunię z przepaści, w której była prawie na dnie. Autor każe księdzu prawosławnemu ułatwić Duni ucieczkę i ocalić od losu, jaki później spotkał chłystów.

Postać księdza Prochora opisana jest różowym pędzlem. Postać to, w swoim rodzaju piękna, ale nie może wystarczyć za całą grupę przekonań, których przedstawicielem zrobił autor Prochora. W niewinnej walce zwycięża u autora religia państwowa. Raskoł i Chłystyzm, rozebrany został starannie. Badania pierwszego wypełniają cały tom pierwszy, a drugiego — cały trzeci. O religii państwowej mało więcej oprócz „miłości.“ Nic dziwnego, że przy takiem zapatrywaniu się autora, „sektanci“ wychodzą u niego z zarzutem, że zanadto poddają się żądzy badania. To najsłabsza strona *Na górach*. Wszystkie dalsze plany opowiadania pominąłem, ale nie pomijam, że w liczbie tysiąca obrazów i osób, wchodzących do opowiadania, każdy obraz i każda osoba opracowane są niezmiernie starannie, a wiele obrazów ma wartość pierwszorzędnych arcydzieł.

Mówiąc, że dzieło Mielnikowa jest nabytkiem *Piśmiennictwa*, użyłem tego wyrazu rozmyślnie. Niczyciowa jednej rodziny, którą zarysowałem wyżej, upoważnia do zapatrywania się na nie, jak na powieść. Ale *tylko* powieścią nazwać go nie można, i autor słusznie dzieło swoje nazwał opowiadaniem, chcąc stanąć pośrodku między naukowem studyum a powieścią. Nad tą drugą stroną zastanawiać się dłużej nie będziemy. To zadanie, które powinna podjąć krytyka rosyjska, wymaga więcej miejsca, czasu i specyalnej wiedzy niż posiada jej niniejsze sprawozdanie. Zaznaczmy tylko, że studya, które winne były poprzedzić napisanie *Na Górach*, musiały być olbrzymie. Opowiadanie to, jako studyum etnograficzne, jest przyczynkiem bardzo ważnym. Obyczaje miejscowe, język, stosunki społeczne, przekonania religijne mas, pamiątki przeszłości, rodowód ludzi, zwyczajów i przekonań; wreszcie duch narodu, który bije z każdego szczegółu, każą uznać w tem dziele wartość naukową.

Zarzut, zrobiony przeze mnie wyżej, stosuje się do poglądów filozoficznych autora, a nie do książki. Tendencya na polu religii nie zajmuje wiele miejsca i pochodzi wprost od autora, nie przechodząc nawet przez usta żadnego bohatera. Natomiast zarzut rozwlekłości dotyczy bezpośrednio dzieła. Niektóre sceny trzeciego tomu byłyby dobre w specyalnem studyum, ale na opowiadanie są bezwątpienia za ciężkie. Robią one wrażenie nużące. Częste oddalanie się od przedmiotu i ustępy objaśniające nasuwają czytelnikowi myśl, że autor w tem dziele chciał koniecznie zmieścić cały materyał zebrany na studyach. Taka myśl psuje naturalnie tę harmonię artystyczną, którą najlepiej odczuwamy w dobrej muzyce, a którą też czujemy przy czytaniu pieśni. Mielnikow w prozie ma tyle harmonii, że słusznie może być pod względem stylu porównywanym z autorami starożytnymi.

Na cudzoziemca język Mielnikowa robi wrażenie korzystne. Miękkość w scenach pieszczotliwych i miłosnych — głaszcze ucho jak delikatna rączka. Sceny takie i język spotykamy u Mielnikowa częściej niż u innych znanych rosyjskich autorów. Autor celuje w scenach erotycznych. W gmatwaninie pojęć religijnych ma bogaty zapas terminów. Sceny ludowe maluje z odpowiednią rubasznością, trzymając się wszędzie naturalnego kolorytu. Najlepiej jednak poznajemy język starowiersko-kupiecki, którym mówi prawie całe towarzystwo występujące w opowiadaniu.

Nie waham się zaliczyć dzieła Mielnikowa do tych śladów rosyjskiego piśmiennictwa, które można porównać do śladów lwa i strusia, a nie zwierząt pospolitych.

Al. Pawłowski.

---

[1]) Drukowaną była w miesięczniku *Russkij Wiestnik*.

Badania prawnicze.

O prawie rolnem w starożytnym Rzymie, napisał prof. dr. T. Dydyński. Warszawa r. 1881, str. 36.

Badanie i wyjaśnianie stosunków społecznych a zwłaszcza prywatno-prawnych starożytnego Rzymu po dziś jeszcze posiada znaczenie nietylko czysto naukowe, ale nawet praktyczne. Nieprzerwany dotąd łańcuch, łączący wszystkie prawie nowsze prawodawstwa z jurysprudencyą rzymską, oraz historycznymi przewrotami prawodawczymi wszechwładnej ongi Romy, sprawia, że wyjaśnienie rzymskich instytucyj prawnych rzuca niejeden cenny promień światła na współczesne nam stosunki i wykazuje ukryte w pomroce dziejów źródła żyjących i rozwijających się wśród nas zasad i poglądów. Z tych powodów nauka prawa rzymskiego liczy w Europie a zwłaszcza w Niemczech całe legiony pracowników i tysiące dzieł w najrozmaitszym kierunku i w najrozmaitszy sposób opracowywanych. W ruchu tym literatura nasza, rzec można, udziału nie przyjmowała i nie przyjmuje. Obok kilku prac z charakterem propedeutycznym, jak Wacława Aleksandra i Franciszka Maciejowskich, Zielonackiego nie mamy na co się powołać. Profesor Dydyński zatem, który już przedtem napisał rozprawę o zastawie i hypotece w prawie rzymskiem, oraz wydał i objaśnił instytucye Gaja, uprawia niwę bardzo u nas zapuszczoną, a przecież nadzwyczaj ważną i gdzieindziej wysoko cenioną.

Prace nad prawem rzymskiem wogóle można podzielić na dwa wielkie działy. Jedne z nich polegają na komentowaniu zasad prawa rzymskiego, zawartych przeważnie w zbiorze Justyniańskim, na wyjaśnieniu pojedyńczych ustępów i ich praktycznego zastosowania. Są to prace głównie pandekcistów, mające cele w znacznej części praktyczne i rozpowszechnione szczególniej w Niemczech, gdzie prawo rzymskie do ostatnich czasów nie straciło mocy obowiązującej jako prawo ogólne. Druga kategorya prac nosi na sobie charakter bardziej naukowy, historyczny. Idzie w nich o sam rozwój prawa rzymskiego, o wykazanie przewrotów, jakie w ideach prawnych Rzymu pod wpływem różnych okoliczności politycznych i cywilizacyjnych się dokonały, o wykrycie wreszcie ogólnej idei, przenikającej ten historyczny rozwój, czyli ducha prawa rzymskiego. Do tej historyi zaliczyć trzeba nową rozprawkę prof. Dydyńskiego: *O prawie rolnem w starożytnym Rzymie.*

Komu nieobce są choćby w ogólnych zarysach dzieje rzymskiego państwa, ten wie, że kwestya agrarna odgrywała w nich pierwszorzędną rolę, że począwszy od wypędzenia królów aż do ostatnich lat rzeczypospolitej łączy się ona z najważniejszymi faktami historycznymi wewnętrznego rozwoju ludu rzymskiego. Od wyjścia na górę świętą do epoki Cezarów, od Spuryusza Kasyusza do Grakchów, trwa mniej lub więcej zacięcie, z większemi lub mniejszemi przerwami walka ekonomiczna klas społecznych o ziemię, walka zakończona wytworzeniem się ogromnych *latifundyów*, które „Rzym zgubiły." Słusznie twierdzi prof. Dydyński, że „żadna inna z tylu niezliczonych kwestyj, jakie rozstrzygały się w rzeczypospolitej rzymskiej, nie może pod względem swej doniosłości i żywotności iść z nią w porównanie; od trafnego bowiem jej rozwiązania zależało powodzenie i dobrobyt rzymskich i italskich właścicieli ziemskich. Ale nad państwem — dodaje autor — zawisł był złowrogi fatalizm, wobec którego wszelka dążność ku lepszemu roztrącała się o brudne samolubstwo, przekładające zawsze interes prywatny nad dobro ogólu." Walka tych dwu żywiołów t. j. samolubstwa z dobrem ogółu stanowi istotną treść przebiegu sprawy rolnej w Rzymie. Zapisały się w niej jasnemi barwami imiona mężów przezornych i kraj miłujących, jak Spuryusza Kasyusza Licyniusza Stollona, Tyberyusza, Kaja Semproniusza Grakchów, ale obok nich spotykamy niezliczone wzory grubego egoizmu, który nie wahał się uciekać do najniższej broni, do oszczerstwa i podburzania ciemnego ludu przeciwko tym, którzy dla jego wyłącznie panowali dobra.

Na pierwszych kartach swej pracy przedstawia prof. Dydyński obraz stosunków rolnych i własności gruntowej aż do wybuchu walk agrarnych t. j. za czasów królów. Wiadomo, że źródła do owej epoki dziejów rzymskich są bardzo niewystarczające, a co najważniejsza, niepewne. Pisarzom rzymskim, którzy znacznie później żyli i pisali, nie można zaufać co do czasów pierwotnych wobec braku krytycyzmu oraz należytego pojęcia historycznego rozwoju, właściwości, bardzo naturalnej u autorów starożytnych. Dlatego też dla nowoczesnego badacza zdania ich mogą mieć zaledwie drugorzędne znaczenie; prawdy istotnej dobijać się on musi inną drogą, drogą mozolnego badania faktycznych zabytków, dochowanych w starych formułach prawnych, nazwach i t. p. Prof. Dydyński zbyt łatwo i szybko załatwił się z tą sprawą, tak, że przedstawiony przezeń obraz pierwotnych stosunków gruntowych w Rzymie nie jest dość przekonywający pomimo, że popiera go autor cytatami znanych naukowych powag. Nie wyjaśniona w nim została dokładnie, najważniejsza zdaniem naszem kwestya, t. j. powstania i istnienia w owych czasach prywatnej własności gruntowej oraz stosunku jej do publicznej. Podanie o wydzieleniu przez Romulusa dwu łanów (bina jugera) każdemu ojcu rodziny, zbyt jest fantastyczne, a nawet z wielu względów nieprawdopodobne, żeby je bez obszerniejszego, krytycznego rozbioru można było uznać za punkt wyjścia dla własności prywatnej. Przedewszystkiem bowiem samo określenie czasu, rzecz w tym razie pierwszej wagi, nie istnieje tu wcale. Przypuśćmy, że takie wydzielenie miało kiedyś miejsce, lecz kiedy i w jakim stadyum rozwoju społeczności rzymskiej? czy poprzedziła je inna forma posiadania ziemi? Powołanie bajecznego Romulusa jako twórcy podziału, ani na jedną jotę tej kwestyi nie wyjaśnia. Podobnież nie przyczynia się do jej wyświetlenia obyczaj limitacyi t. j. rozgraniczania gruntów, bo niewiadomo z jakiej tenże datuje ich epoki. Dalsze wzmianki autora o (ager publicus), który pochodził z podboju i dzielony nie był, o wydzielaniu osobnych obszarów szczepom (tribus), kuryom a wreszcie rodom (gentes) do reszty zaciemnia kwestyę i pozbawia wszelkiego cienia prawnego jej przedstawienia. Rzecz bowiem naturalna, że jeżeli osobne udziały miał szczep, osobne znów kurye (stanowiące poddziały szczepu) dalej rody i wreszcie ojcowie rodzin, to stosunek prawny tych jednostek do gruntu musiał być koniecznie różnorodny.

Prawne zabytki starożytnego Rzymu przedstawiają nader ważne dane, przemawiające za tem, że rzymianie nie znali pierwotnie własności prywatnej. Prof. Dydyński na fakta te żadnej nie zwrócił uwagi i tylko w przypisku wspomniał mimochodem o zdaniu w tym względzie Puchty. Zdaniem mojem rzecz ta wymagała bliższego rozbioru, bo jakkolwiek szanowny autor zastrzega, że nie może w niewielkiej rozprawce wdawać się w szczegóły, to jednak jest to kwestya fundamentalna od której rozwiązania dokładne zrozumienie dalszego przebiegu sprawy rolnej w Rzymie zależy.

Po przedstawieniu stosunków rolnych za królów, wspomina prof. Dydyński o zmianach zaszłych w tej sferze w pierwszych czasach rzeczypospolitej. Niejasność postawienia kwestyi w epoce królów musiała odbić się na obrazie jej zmian w czasach późniejszych. Wprowadza autor na scenę plebejuszów i kreśli ich stosunek do patrycyuszów, zapomina o reformie Serwiusza, o powstawaniu roli publicznej (ager publicus) i sposobach przechodzenia jej w ręce prywatne, ale nie dowiadujemy się nic, jakie były prawa do ziemi plebejuszów oraz udział ich w ager publicus. A jest to rzecz pierwszej wagi, wielu bowiem uczonych uważa wytworzenie się klasy plebejuszów za początek własności prywatnej w Rzymie. Wspomina wprawdzie prof. Dydyński o ograniczeniu z nastaniem rządów arystokratycznych praw plebejuszów do roli publicznej (str. 10), ale pomija milczeniem jakie im prawa służyły poprzednio. Że zaś prawny stosunek plebejuszów do ziemi nie mógł być ten sam co patrycyuszów, o tem wnosić możemy choćby stąd, że pierwotne prawo kwiryckie dotyczyło tylko patrycyuszów, że plebejusze innemi zupełnie kierowali się normami.

Na stronicy 11 zaczyna autor kreślić dzieje walki patrycyuszów i plebejuszów począwszy od wyjścia na górę świętą, walki, z którą zespolił się ściśle przebieg sprawy rolnej w Rzymie. Tu już spotykamy jasny i systematyczny tok opowiadania kolejnych przemian i dążeń do uregulowania stosunków agrarnych. Pierwsze miejsce poświęca autor szlachetnym usiłowaniom Spuryusza Kasyusza, (r. 268 od założenia miasta) pierwszego męczennika sprawy rolnej i ofiary niecnych intryg arystokratycznej partyi. Projekt Kasyusza dotyczący rozdziału ziemi między ubogich, aczkolwiek zatwierdzony, w życie nie wszedł, pomimo kilkukrotnych usiłowań późniejszych. Dopiero zdobycie Wejów (r. 358) pozwoliło plebejuszom skorzystać cokolwiek z nowo opanowanej ziemi. Na dobre jednak podnieśli powtórnie sprawę użytkowania z roli publicznej, Licyniusz Stollo i L. Sekscyusz Lateranus. Sławne prawo licynijskie (lex licynia r. 387) ograniczyło do 500 łanów obszar roli publicznej, którą jeden obywatel mógł posiadać, ułatwiło zatem nabywanie jej dla znacznej ilości jednostek. W jaki sposób prawo to wprowadzono w wykonanie, jak długo moc swą zachowało, niewiadomo. Faktem jest jednak, że w czasie długich wojen zaborczych poszło ono w zapomnienie i już przed ukończeniem wojen punickich powstają latifundya. t. j. obszerne własności ziemskie uprawiane przez niewolników i w znacznej części przeznaczone na pastwiska.

Znów więc po upływie dwu wieków kwestya agrarna występuje na widownię. Po nieudanych próbach C. Flaminiusza (r. 522), żąda Tyberyusz Grakchus wznowienia praw Licynijskich (r. 620). Lecz czasy nie nadawały się już do demokratycznych reform. Tyberyusz zginął z ręki podburzonego ludu, a prawa pod jego wpływem wydane nie wiele przyniosły owoców, pomimo dzielnego poparcia przez jego brata Kajusa Grakcha. Po śmierci Grakchów sprawa podziału gruntu nie upada zupełnie lecz wchodzi w nową, słabszą znacznie fazę; idzie tu już bowiem tylko o rozdział nowo zdobytych ziem między weteranów, co szczególniej wprowadził w życie Juliusz Cezar. Tak więc z upadkiem rzeczypospolitej upadła sprawa reformy własności gruntowej, a z nią upadł i dobrobyt Italii. „Jeszcze i do dziś dnia — kończy swą rozprawkę prof. Dydyński — kraj ten nie odpokutował za grzechy rzeczypospolitej. Jeśli wędrowca, skoro tylko opuści stolicę nowożytnego królestwa włoskiego otacza w koło uroczysta cisza i pustynia rzymskiej Kampanii, w której tylko ubodzy pasterze i dzierżawcy nędzny pędzą ży-

wot, — to przyczyny tego uderzającego opustoszenia szukać należy po części w dawnych czasach starożytnego państwa rzymskiego.“

Rozprawka prof. Dydyńskiego napisana dobrym i żywym językiem czyta się łatwo i zająć może każdego inteligentnego czytelnika. Zanadto może tylko autor odbiega tu i owdzie od przedmiotu, wtrącając epizody walki patrycyuszów z plebejuszami, w dość odległym związku ze sprawą rolną będące. Prócz tego sposób przedstawienia kwestyi nie może w zupełności zadowolnić prawnika. Rzecz wyłożona jest — że się tak wyrażę — zanadto zewnętrznie, bez wniknięcia w prawną, wewnętrzną naturę stosunku, co dopiero mogłoby samą kwestyę w należytem stawić świetle. Są to raczej dzieje walki klas społecznych o posiadanie ziemi, a nie rozprawa o prawie rolnem w Rzymie. Bądź co bądź, życzyć by należało, żeby prof. Dydyński nie poprzestał na tej pracy i nadal literaturę naszą studyami nad prawem rzymskiem zasilał.

Karol Dunin.

Literatura zagraniczna.

Wiliam Wallace. The epicureanism. London, 1880.

Nauka epikurejska, tak tendencyjnie potępiana i lekceważona przez dawniejszą krytykę filozoficzną, obecnie doczekała się krytycznych opracowań, w których świetle odzyskuje uznanie bezstronnych i trzeźwych umysłów. Do badań i monografij specyalnych w tym przedmiocie przybyła cenna książka Wallace'a, której głównem zadaniem jest rozwinięcie szerokie pod wszelkimi względami systemu epikurejskiego, charakterystyka jego tak przedmiotowa, że wobec niej osobiste poglądy autora i cała część krytyczna schodzą na drugi plan tej cennej pracy.

W pierwszych czterech rozdziałach książki autor kreśli nam szczegółową historyę warunków dziejowych, w których powstał i rozwinął się system epikurejski, opowiada życie jego twórcy na tle epoki, opisuje bractwo (broterhood) epikurejskie, następnie podaje charakterystykę źródeł, które uczonemu pozwalają odbudować całokształt nauki. W następnych sześciu rozdziałach p. Wallace wykłada szczegółowo całość systemu, wyłuszcza przedewszystkiem plan zasadniczy i główne podziały, poczem zajmuje się teoryą świata fizycznego, najwyższego dobra, atomistyką, kosmologią i teologią, potem logiką czyli *kanoniką* i psychologią; w ostatnim zaś rozdziale kreśli obraz historyczny rozwoju systematów w starożytności i nowych czasach.

Na wstępie odróżnia autor bardzo wyraźnie epikureizm od poprzednich i współczesnych kierunków filozoficznych, zaznacza, że z wrogim sobie systematem stoickim ma on ten rys wspólny, że zapomina o człowieku społecznym a całą uwagę zwraca na człowieka indywidualnego, różniąc się w tej mierze od Arystotelesa i Platona, którzy moralność łączyli ściśle z polityką w różnych stosunkach zawisłości wzajemnej. Oba te systematy pod tym względem są podobne do chrystyanizmu, że chociaż ich królestwo nie jest z tego świata, to jednak radzą prowadzić życie tak, aby nie dać się unieść prądowi wypadków i zamętowi interesów, zwracają się do ogółu ludzi i dlatego są popularne, dlatego ich moralność dla świata pogańskiego stanowiła rodzaj religii. Moralny indywidualizm, zależność całej nauki od moralności, są to podług p. Wallace'a charaktery wspólne platonizmu i perypatetyzmu. Tymczasem epikurejczycy nietylko pogardzają sprawami *doczesnemi* ale jeszcze więcej wszelką *czynnością*. Mędrzec epikurejski ma tylko jedno na celu: żyć szczęśliwie i spokojnie, używając mądrości w obojętnym kwietyzmie, postawić się wyżej nad zrządzenie wypadku, być panem samego siebie, gdy tymczasem mędrzec stoicki godzi się z przeznaczeniem i poddaje się bóstwu. Wbrew pojednawczemu duchowi stoików, którzy chcieli zawrzeć kompromis z mitologią ludową, nie uznają epikurejczycy żadnych przesądów, żadnego mieszania się opatrzności w sprawy człowiecze, nakoniec opierając swoją moralność na samej tylko naturze naszej, pojmują ją po swojemu: natura ta nie jest jak u stoików tylko instynktem zachowawczym, osobistym wysiłkiem dla dla utrzymania własnej istności, ale raczej posiadaniem wszystkich zdolności — jest zdolnością do używania wszystkich korzyści i przywilejów człowieka.

Biografia Epikura i opisanie jego instytutu należą do najciekawszych rozdziałów książki. Autor obdarzony jest nadto bystrym umysłem, aby mógł brutalnie potępić tak sympatyczną szkołę, tłómacząc w dodatniem znaczeniu wiele potępianych powszechnie maksym. W sposób ponętny opisuje ogród Epikura, gdzie w rozkoszy można było znaleźć najwyższe dobro„ polegające na skromnem i przyjemnem użyciu; charakteryzuje dalej autor udział i stanowisko kobiet w tej akademii, które ściągnęło na epikurejczyków wiele potwarzy, opisuje praktykę przyjaźni, którą uważano za najwyższe uczucie. Następnie skreśliwszy obraz religijnej czci, jaką mieli dla Epikura jego uczniowie i zwolennicy, zajmuje się krytyką głównych dokumentów epikureizmu rozbiorem odnośnych wiadomości z Lukrecyusza, Dyogenesa Laercyusza, Cycerona, Seneki, Plutarcha, Stobeyosa i Atenajasa, przeprowadza literacką krytykę pism filozofa.

Przechodząc do wykładu samej doktryny, autor zaznacza przedewszystkiem główne rysy systematu: jestto nauka popularna, obca wysokim spekulacyom, obojętna dla wyrafinowanej uprawy umysłu. Nieobiecuje ona dać nauki, ale swobodę i szczęście. Życie ludzkie pełnem było fałszywych i czczych bojaźni; zadrość i złość bogów ciężyła nad rodem człowieczym; kary Tartaru straszyły go po za grobem a od tych męczących widziadeł epikureizm chce na zawsze oswobodzić człowieka. Celem jego jest użycie, dlatego potępia próżne zaciekania się uczonych i strome subtelności filozofów; dla dobrze zorganizowanej głowy, najlepszą poduszką podług niego jest co najmniej — spokój i obojętność. Ani ciało, ani dusza, nie powinny używać wyłącznej przewagi, jedno i drugie razem mają być kierowane dla użycia szczęścia, które jest jedynym celem filozofa.

Jeżeli filozofia ma być nauką budowania szczęśliwego życia, niech o tyle przywiązuje się do nauki o naturze tej: fizyki i do logiki, o ile te nauki dają środki dla osiągnięcia szczęścia. Zadaniem fizyki jest wyłączenie bogów i zniesienie piekła. Teorya świata jest czysto mechaniczną a dla jej zbudowania Epikur ucieka się do pojęcia atomów i samorodności (spontaniczności). Pojęcie atomu ma początek w zmysłach, pojęcie samorodności (klinamen), ma źródło w świadomości. Co do przyczyn ruchu, Epikur nie troszczy się o nie, uważając go za rzecz naturalną i pierwotną. Ruch jest znakiem widocznym owego, niewidocznego *klinamenu*, tej tajemnej własności wszechrzeczy, która do ruchu tak się ma, jak nasze pojęcia i pragnienia do naszych czynów.

Dusza ludzka oprócz atomów powietrza, ognia i tchnienia zawiera jeszcze pierwiastek *nienazwany*, który ma pewne podobieństwo z zasadą *bezwiedną* Hartmana. Ponieważ, wszystko się wyjaśnia za pomocą atomów i samorodności, więc piekło i bogowie są tylko wytworami ludzkiej niewiadomości i czczych obłędów myśli. Wallace wskazuje na wspólność, jaką mają pojęcia epikurejczyków o historyi naturalnej cywilizacyi z darwinizmem; początek życia i mowy, są teoryami, które Lukrecyusz doskonale traktuje. Epikureizm zponurym a namiętnym entuzyazmem niweczy nadzieje nieśmiertelności, podług niego najwyższe dobro ziszcza się na ziemi: mędrzec jest śmiertelnym bogiem. Porównywając następnie *obojętność* (indolentia) epikurejską z *eudaimonizmem* perypatetyków, autor powiada, że najwyższe dobro epikurejczyków jest niższem od takiego pojęcia u Arystotelesa.

To ostatnie jest doskonałością, którą się czuje i kosztuje pod nazwą szczęścia, ponieważ szczęście jest dopełnieniem, czyli uzupełnieniem doskonałości, jak rozkosz jest dopełnieniem czynności, gdy *indolentia*, obojętność jest najniższym stopniem tej doskonałości, jej warunkiem najbardziej elementarnym, to jest nieobecnością wzburzenia, spokojem duszy, zdrowiem i siłą fizyczną. Aby sprowadzić do minimum niedorzeczność pojęcia tylu ruchów atomistycznych bez przyczyny, epikureizm wynalazł *klinamen*, aby sprowadzić do minimum niedorzeczność moralności, opartej na rozkoszy a nakazującej surowość obyczajów wynalazł pojęcie bezwładności (indolentia).

Oceniając harmonię moralnego systemu epikurejczyków, p. Wallace stawia go jako koncepcyę filozoficzną po nad utylitaryzmem. Wogóle powiada, epikureizm jest wyższym aniżeli utylitaryzm, podaje nam teoryę zupełną natury a nie hypotezę, która ma zdać sprawę z naszych pojęć moralnych. Jestto wysiłek, mający na celu przeprowadzenie człowieka przez zawiłości życia, jestto zarówno religia jak i teorya naukowa.

Oceniając teoryę atomistyczną Epikura autor porównywa ją z atomizmem nowożytnym. Atomizm dawniejszy jest tylko hipotezą, nieopartą na faktach naukowych, obecny atomizm przedstawia się jako prawidłowa indukcya i opiera się na obszernej całości faktów, naukowo stwierdzonych. Epikurejczykom brakowało pojęcia siły we właściwem znaczeniu, siły niewidzialnej, wewnętrznego faktu pierwotnego, niedającego się zredukować do innych, do którego trzeba się zawsze uciekać, aby zdać sobie sprawę z tego co widzimy, z tego co się ujawnia w warunkach zewnętrznych istnienia, co wypływa z głębokiego metafizycznego źródła. Epikur nieuznawał pojęć metafizycznych. Ponieważ niema innej rzeczywistości tylko atomy, przestrzeń jest tylko warunkiem widzenia, co zaś do czasu jest on tylko faktem ugólnionej świadomości, biegnie on prędko lub wolno stosownie do tego, czy nasze pojęcia i wrażenia są mniej lub więcej nagłe. P. Wallace czyni uwagę, że gdyby Epikur pogłębił tę teoryę, byłby poprzednikiem Kanta, ale jak się zdaje przeczuwał ją dość niejasno.

Znaną jest epikurejska teorya bogów i świata. Prawem zasadniczem świata jest nieobecność prawa, t. j. przypadek; przymiotem głównym bogów jest apatya i obojętność. Istnieją oni, bo mamy w tej mierze *przeczucia* i *prekoncepcye*, ale nierozsądny jest ten, który ich o co prosi, gdyż ci wieczni młodzieńcy istnieją w międzyświatach, nie troszcząc się o sprawy człowiecze. Teologia i kosmologia epikurejczyków jest opartą całkowicie na imaginacyi i jest czysto antropomorficzną. Ponieważ cała istność jest cielesną, ponieważ wszystkie *prekoncepcye* nie są ideami wrodzonemi ale rezultatami wyćwiczenia zmysłów, „produktami obserwacyi,“ a więc cała metafizyka epikurejska jest dziełem imaginacyi a nie rozumu czystego lub praktycznego. Streszczając swój pogląd na całość logiki i psychologii epikurejskiej, p. Wallace powiada: „Podobnie jak niektóre systemata

nowożytne pod godłem *myślę*, albo *chcę* gromadzą wszystkie nasze percepcye, epikurejczycy mniemali, że mają prawo pominąć nasze *ja*. Jeżeli dobrze zrozumiałem Epikura, nie uwzględniał on poprostu tego *ja* i *świadomości*, zwracając tylko uwagę na rzeczywistość zewnętrzną. Zajął on stanowisko nauki, a nie stanowisko filozofii. Na pytanie czem jesteśmy odpowiada, że jesteśmy tem, co widzimy i cobyśmy mogli widzieć, gdyby nasz wzrok był bardziej przenikliwy. Każdy z nas jest *przedmiotem* widzenia wrażliwego i rozumnego; że *ja* jestem także *podmiotem*, o tem nic nie wiem."

W ostatnim rozdziale autor kreśli dzieje epikureizmu, streszczając swe sądy o nim w sposób następujący: „Treścią nauki epikurejskiej była jedność i harmonia natury ludzkiej; celem jej było zlać one w całość samą w sobie, niezależną od wpływów zewnętrznych. Jej optymizm uśmiechnięty a poważny, a jednocześnie nieprzekraczający wzrokiem granic doczesnego życia starał się za pomocą rozumu uczynić je rajem. Epikureizm nie znał wielu rzeczy, ale godząc się szczerze z rzeczywistością życia ludzkiego, z prawami natury powszechnej, uważając braterstwo i przyjaźń jako główne czynniki moralnego postępu, odtrącając ascetyzm, który tworzył doktrynę z cierpienia, głosił on pierwiastki prawdy, o jakich świat nie powinien już zapominać." Całość tego gruntownie i wytwornie napisanego dzieła, pomimo surowości niektórych sądów o szczegółach nauki epikurejskiej, ocenia jej system beztronnie i przychylnie, należąc do liczby prawdziwie niepodległych badań z dziedziny historyi filozofii.

A. B.

KORESPONDENCYA TALLEYRANDA [1].

I.

Ostatnimi czasy posypał się istny grad publikacyj, uchylających zasłonę tajemnicy, mających według intencyj głównych autorów i aktorów, zakrywać przed oczyma zbyt ciekawych śmiertelników szczegóły, kłopoty i roboty wewnętrznego warsztatu kongresu wiedeńskiego. Pominąwszy większych rozmiarów historyczne prace, jak ośmnasty tom *Historyi Konsulatu i Cesarstwa* Thiersa, jak Gervinusa *Dzieje XIX wieku, począwszy od traktatów wiedeńskich*, jak Onckena *Prussy i Austryą*, nie wyliczając wielu innych, których autorom było dano korzystać z zasobów i źródeł archiwalnych różnych państw europejskich, zaczęli się — najczęściej z po za grobu — odzywać samiż uczestnicy, naoczni świadkowie, niekiedy główni bohaterowie wielkiego aktu dyplomacyi europejskiej. Wielce ciekawą była pod tym względem publikowana z dziwną obrazą wszelkiej dyskrecyi przez panią Ludmiłę Assing korespondencya sławnego pisarza Varnhagena von Ense z rozmaitemi współczesnemi znakomitościami. Niemniej ważnym do rozświecenia epoki kongresowej materyałem stała się ogłoszona przez wiedeńskiego archiwistę P. Klinckowströma korespondencya słynnego sekretarza kongresu, Fryderyka Gentza. Wieńczyć zdawała się ową rewelacyjną historyografią kongresu wiedeńskiego, licząca obecnie cztery tomy publikacya tak zwanych *Pamiętników księcia Metternicha*. Jakoby ku uzupełnieniu przychodzi im w pomoc wydana przez niejakiego P. Pallain korespondencya między księciem Talleyrandem a królem Ludwikiem XVIII podczas kongresu wiedeńskiego — dzieło, będące przedmiotem niniejszego naszego sprawozdania.

Wobec wychodzących równocześnie niemal *Pamiętników Metternicha* nasuwa się mimowolnie myśl paraleli między tymiż pamiętnikami a korespondencyą Telleyranda, jak się nasuwa nie mniej naturalnie między osobami obu spotykających się na jednej i tejże samej widowni mężów stanu europejskich. Zaczynając ową paralelę od obu *publikacyj*, powiedzmy z góry, że francuzka góruje pod względem ciekawości i obfitości historyczno-politycznego materyału, niesłychanie nad austryacką. Przedewszystkiem zaś mamy tu na myśli epokę kongresu wiedeńskiego właśnie. Polityczna historya trzech lat, poprzedzających kampanią Napoleona przeciw Rossyi 1812 r.; wypadki dalej przygotowujące zerwanie przymierza francuzko-austryackiego i przystąpienie dworu wiedeńskiego do koalicyi przeciw Francyi w r. 1813; wreszcie akcya dyplomacyi koalicyjnej aż do wzięcia Paryża w 1814, znajdują jeszcze w *Pamiętnikach Metternicha* dość obszerne miejsce i zawierają dla chcącego się obeznać z dziejami owej epoki objaśniający materyał. Natomiast kończy się ciekawość Metternichowych pamiętników właśnie z chwilą rozpoczynającego się kongresu wiedeńskiego, właśnie wtedy, kiedy zapowiadać się zdawały czytelnikowi najżywszy interes. Epoka kongresu wiedeńskiego ogranicza się w *Pamiętnikach Metternicha* jedynie niemal tylko na dostarczeniu dowodu nieszlachetności kanclerza austryackiego w obchodzeniu się z osobą Napoleona. Metternich, którego dziełem było małżeństwo Maryi Ludwiki z Napoleonem; Metternich, który nienawidząc Napoleona, jako uzurpatora i wyraz rewolucyi, schlebiał mu przecież niedwuznacznie w epoce jego potęgi — staje się, po jej złamaniu, w epoce kongresu wiedeńskiego, upartym i natrętnym przeciw Aleksandrowi I i Fryderykowi Wilhelmowi III rzecznikiem środków surowości względem osoby Napoleona. Nie może strawić jego pobytu i jego monarszej władzy na wyspie Elbie, a po bitwie pod Vaterloo pociesza Maryę Ludwikę, że „*Napoleon*" będzie z uwzględnieniem bezpieczeństwa europejskiego stosownie pomieszczony.

Otóż prawie wszystko co *Pamiętniki Metternicha* z epoki kongresu wiedeńskiego zawierają. Materyał, jak widzimy nieszczególnie bogaty, a czy szczególnie dla bohatera publikacyi zaszczytny, niechaj rozstrzyga, komu wola. Niema wątpliwości i wydawcy metternichowych pamiętników albo nie znalezli w pozostałych po kanclerzu austryackim papierach z epoki kongresu wiedeńskiego nic uwagi godnego, co nam się *nie* zdaje prawdopodobnem; albo też spotkali się z dokumentami —co prawdopodobniejsza — których publikacya nie była według nich na czasie lub kompromitującą dla pamięci jego. Historyk i badacz epoki kongresowej wyniesie tedy bardzo szczupłe żniwo z czterotomowej publikacyi księcia Ryszarda Metternicha.

Inaczej wręcz ma się rzecz z *Korespondencyą* między Talleyrandem a Ludwikiem XVIII. Korespondencya ta rozpoczynająca się z dniem 25 Września 1814, kończąca się z d. 27 Maja 1815 r., zastępuje poniekąd, do dziejów tej epoki właśnie, pamiętniki, które Talleyrand pozostawił, które umierając w roku 1838 pozwolił ogłosić dopiero w trzydzieści lat po swej śmierci, a które z niezrozumiałych nam przyczyn dotąd nie ujrzały światła dziennego.

Wspomniona co dopiero *Korespondencya* wprowadza czytelnika w najrzeczywistszy i najgorętszy wir czynności, intryg i namiętności kongresowych, nie szkodzi z drogi żadnej, choćby najdrażliwszej kwestyi, charakteryzuje ze szczególną otwartością wybitniejsze osobistości kongresowe. Być może, iż dzięki podobnej otwartości osoby cesarza Aleksandra, Metternicha, cesarza Franciszka, reprezentantów pruskich Hardenberga i Humboldta nie wychodzą w świetle tak niepodzielnie dodatniem, w jakiem pewna część historyografii podjęła je przedstawiać; zyskuje natomiast, jak jesteśmy przekonani, historyczna prawda. Słowem, przedstawia dwutomowa korespondencya Talleyranda wysoki interes, obejmuje nader obfity materyał historyczno-polityczny, z którego, mimo wszelkiego dotychczasowego bogactwa historyografii kongresowej czerpać, z którym się troskliwie liczyć będzie zmuszony każdy badacz i historyk genezy stosunków europejskich w roku 1814 i 1815.

Zauważyliśmy wyżej, że paralela owa między jedną a drugą *publikacyą* pociąga za sobą dość naturalnie paralelę między obu mężami stanu, odgrywającymi pierwszorzędną rolę w dziele regulowania olbrzymiego spadku po rewolucyi francuskiej i Napoleonie. *Talleyrand* i *Metternich*, dwa imiona zapisane równie wysoko w dziejowej hierarchii dyplomacyi europejskiej, dwa imiona, otoczone w równym niemal stopniu przesądną opinią ogromu wyższości umysłowej, połączonej z przebiegłością, dwa imiona, którym podobno opinia nie zdołała oszczędzić innej jeszcze, mniej zaszczytnej opinii *charakteru*, zmieniającego się według okoliczności, nieprzebierającego w środkach. I ta paralela wypadnie na korzyść francuza, jakkolwiek szczęście i powodzenie towarzyszyło dłużej austryakowi i zdawało go się, wobec bezwzględnych wielbicieli sukcesu zwłaszcza, darzyć warunkami wyższości.

Tak francuz, jak austryak, by zacząć od *podobieństw*, mają wiele dobrych i złych stron *wspólnych*. Obaj obdarzeni bystrym i pojętnym umysłem; obaj odebrali troskliwe wychowanie i wykształcenie, którego owoce widać w późniejszem życiu, w zawodzie ich polityczno-dyplomatycznym. Jeżeli Metternich jest nie mniej według definicyi dawniejszego mistrza swego Kaunitza, jak samegoż Talleyranda, *ein perfecter Kawalier*, kawalerem, za młodszych lat, umiejącym się podobać w towarzystwie i mieć szczęście u kobiet; jeśli odznacza się obfitym zasobem wiadomości klasycznych, estetycznych; jeśli umie się znaleźć w roli znakomitego turysty i opisywać swe wrażenia stylem, któregoby mu pozazdrościć mogli pierwszorzędni felietoniści pierwszorzędnych dzienników europejskich — nie znajduje z pewnością w Talleyrandzie niegodnego siebie współzawodnika. Dawny biskup Autuński karmił się również za młodych lat mlekiem klasycyzmu. Że się umiał bawić i że umiał być żywszym elementem towarzystw, niechaj będzie dowodem, że go wiek XIX po roku 1815 nudził i że z westchnieniem przypominał sobie i otoczeniu swemu wiek ubiegły, w którym ludzie posiadali sztukę korzystania z przyjemności życia. Że Talleyrand był nie gorszej, jeżeli nie lepiej od Metternicha, człowiekiem nauki, że był nie gorszym, jeżeli nie lepszym odeń pisarzem, niechaj będzie dowodem rozprawa jego w akademii francuskiej, wygłoszona na kilka miesięcy przed śmiercią ku uczczeniu uczonego Reinharda. Obu jest wspólna namiętna nienawiść do rewolucyi francuskiej i Napoleona, ale z różnych przyczyn. Metternich pogniewany śmiertelnie z pierwszą i z drugim, jako doktryner konserwatyzmu i legitymizmu. Talleyrand nienawidzi jako człowiek konstytuanty z r. 1789, jako wyznawca politycznych i filozoficznych pojęć XVIII wieku, w *rewolucyi* nieład i zamęt, w *Napoleonie* despotyzm, a może i potrzebę zawadę własnych, ambitnych dążeń. Obaj, tak Metternich, jak Talleyrand—a pod tym względem są sobie najpodobniejsi—powodują się najpoziomszą nieszlachetnością

[1] *Correspondence inédite du Prince de Talleyrand et du Roi Louis XVIII pendant le congrès de Vienne, publiée sur les manuscrits conservés au dépôt des affaires étrangères avec préface, éclaircissements et notes par M. G. Pallain. Paris, E. Plon et Comp., Imprimeurs — éditeurs, Paris* 1881.

wobec osoby Napoleona. Tak jeden, jak i drugi, będąc najuniżeńszymi sługami, najskrzętniejszymi wykonawcami woli i wszelkich zachceń Napoleona w czasie jego potęgi i powodzeń — wychodzą na jego najnikczemniejszych potwarców i prześladowców od chwili upadku. Tutaj nie mają sobie obaj nic do pozazdroszczenia. Tak jeden, jak drugi gorszy się i alarmuje pobytem upadłego Cesarza w pobliżu lądów Francyi i Włoch; okruszynami monarszej władzy, jaka mu się przez posiadanie Elby dostała. Jeśli Metternich daje mu jeszcze łaskawie miano *Napoleona*, nazywa go Talleyrand w swej korespondencyi z Ludwikiem XVIII konsekwentnie *Bonapartem*. Jeśli Metternich chce go mieć wyprawionym z wyspy Elby gdziekolwiekbądź, byle daleko, przeznacza mu Talleyrand Azory. Dość jest między obu mężami stanu istny wyścig w prześladowaniu Napoleona którego groźne i niebezpieczne intencye dla nowego porządku europejskiego z zadziwiającem przeczuwają jasnowidzeniem.

Wspólne te obu mężów strony nie wyłączają przecież bardzo esencyonalnych różnic, które w praktycznych rezultatach obracają się wszystkie na korzyść wyższości Talleyranda. Metternich jest na prawdę *politycznie* człowiekiem zasady, doktrynerem konserwatyzmu, niewolnikiem różnych swych niechęci i sympatyj, które mu każą zapominać o interesie Austryi, a które z niej robią narzędzie, pokutującej w głosie czy nerwach jej kanclerza, bądź to doktryny, bądź namiętności. *Osłabić* Napoleona po kampanii r. 1812 było wyraźnym interesem Austryi, *obalić* go jako uzurpatora i reprezentanta rewolucyi było nieprzebaczonym ze strony męża stanu austryackiego błędem, bo taki rezultat szedł tylko na korzyść obu niebezpiecznych sąsiadów Austryi. Podczas kongresu wiedeńskiego, w długie lata po nim, robi Metternich w imię swej doktryny z Austryi po prostu policyę zachowawczości europejskiej, nie umie korzystać z okoliczności, nie rozumie, nie umie korzystać z wypadków, podkopuje stanowisko zostającego pod swojem kierownictwem państwa w Niemczech, Włoszech, na Półwyspie Bałkańskim.

Inaczej Talleyrand.

Talleyrand jest także nibyto w epoce kongresu wiedeńskiego doktrynerem, wyznawcą zasady miarkowanego formą konstytucyjno-parlamentarną konserwatyzmu i legitymizmu; ale jest nim widocznie z tej prostej przyczyny, że trzymanie się podobnej, w modzie naówczas będącej poręczy odpowiada interesowi francuzkiemu. Metternich rozporządzając ogromnymi środkami i zajmując stanowisko arbitra losów europejskich w Czerwcu r. 1813, skarży się już nazajutrz, niemal po bitwie lipskiej na zdetronizowanie Austryi z jej dotychczasowej wysokości, na bezwzględne gospodarowanie Steinów, Arndtów i Jahnów w Niemczech, na panowanie wpływu prusko-rossyjskiego, któremu sam swą polityką do zwycięztwa dopomógł, a którego mu już teraz, ku szkodzie interesu austryackiego, okiełznać nie podobna. Inaczej Talleyrand. Talleyrandowi przychodzi na kongresie wiedeńskim reprezentować skołataną dwudziestokilkoletniemi wojnami, wyludnioną, wyczerpaną finansowo, wychodzącą ze straszliwych wstrząśnień, rozdartą na stronnictwa *Francyę*. Dzięki zręczności i śmiałości swej akcyi dyplomatycznej, zdobywa jej przecież od razu głos i stanowisko, od którego ją inne mocarstwa odsądzić chciały, jedna jej szacunek, zyskuje sprzymierzeńców w dawnych wrogach.

Bez wątpienia, jako charakter, jako okaz moralności pozostanie Talleyrand wstrętnym pojawem. Jego zmienność, jego cynizm, jego dziwna umiejętność, stosowania się do wszystkich, choćby najprzeciwniejszych sobie rządów i prądów swego kraju, piętnują go po wszystkie czasy jako typ przewrotności i niemoralności politycznej. Niesprawiedliwością jednakże byłoby chcieć zarzutem podobnym obejmować podawane także ostatnimi czasy przez różnych francuskich i niefrancuskich pisarzy u wątpliwość *uzdolnienie* polityczne, co więcej, nie chcieć uznawać znakomitych usług, jakie w czasie kongresu wiedeńskiego krajowi swemu oddał. Co stanowiło przecież, by dokończyć naszą paralelę, szczęście Metternicha, było nieszczęściem Talleyranda. Metternich był kierownikiem nawy państwa regularnego, skostniałego, niewzruszonego od wieków organizmu, którego nieporuszalny spokój ręczył mu za trwałość jego stanowiska i jego działalności. Inaczej, raz jeszcze, Talleyrand. Talleyrand znalazł się reprezentantem państwa, stojącego na wulkanie. Dokonywał właśnie wielkiego dzieła, kiedy wybuch spowodowany powrotem Napoleona z wyspy Elby, wysadził w powietrze dzieło restauracyi, dynastyę, cały organizm, na którym robota jego spoczywała, pokrył Francyę ruinami, zamienił go z reprezentanta wielkiego państwa na emigranta, zbudowany już przezeń niemal nowy system aliansów europejskich na fantazyjną mrzonkę.

Po rozpatrzeniu się podobnem w ogólnym charakterze, w wartości historycznej i politycznej pamiętników i zapisków obu głównych bohaterów kongresu wiedeńskiego, po wyprowadzeniu ich nieuniknionej paraleli — przystąpmy do sprawozdania z treści, zatrudniającej nas obecnie publikacyi.

J. N.

W PERSPEKTYWIE.

Do kwestyi szkolnej ciekawy przybywa nam przyczynek. Oto, co pisze do nas korespondent z Siedlec:

„Z początkiem nowego roku szkolnego ciche zazwyczaj nasze miasto ożywione jest obecnością wielu okolicznych mieszkańców, którzy przybyli tutaj w zamiarze umieszczenia swoich dzieci w miejscowych szkołach. Podczas wstępnych egzaminów największy ruch panował w gmachu gimnazyalnym, dokąd z rozmaitych stron spieszyli o dobro swoich dzieci dbali rodzice. Aby osiągnąć zamierzony cel, uciekano się do protekcyi rozmaitych osób, próśb i do innych, tym podobnych środków. Pomimo to większa część starań spełzła na niczem. Widać to nawet z stroskanych fizyognomij ojców, matek, opiekunów i dzieci. Trudno rzeczywiście było zadowolnić żądania wszystkich, ponieważ na stu blisko kandydatów zaledwie miejsc kilkanaście do klasy pierwszej wakowało. Przed pięciorna lub sześciorna laty, ilość dzieci mających wstąpić do szkół nie wyrównywała 50 — 60. Liczba więc garnących się do światła w ostatnich kilku latach wzrosła. Fakt to pocieszający. Zwróciwszy jednak uwagę na brak środków, za pomocą których zadość uczynić możemy dobrym chęciom, doznajemy smutku i po tylu rozczarowaniach nie uwierzymy w prędkie zawitanie lepszych dla wychowania warunków. Jedynym pocieszającym faktem w minionym roku szkolnym była łatwo dostrzegalna dążność, aby ułatwić uczniowi przejście z klasy do klasy, albo otrzymanie tak zwanego świadectwa maturitatis. Objaw ten jest znaczną ulgą, lecz niczem jest jeszcze wobec bardzo wielu innych przeszkód, spotykanych na drodze ku wykształceniu. Obecnie pierwszą i najważniejszą w tym względzie przeszkodą jest brak miejsca.

Przy takim składzie okoliczności do obecnego położenia rzeczy można zdaje się zastosować teoryę Maltusa, już nie jako teoryę, lecz jako pewnik zmodyfikowany tak: liczba chcących się uczyć wzrasta w stosunku geometrycznym, liczba zaś stosownych po temu miejsc, jeżeli się nie pomniejsza, to w najlepszym razie jest stałą. Chociaż, dzięki staraniom niektórych pp. nauczycieli szkół miejscowych, otwarte zostały dwa prywatne oddziały pierwszej i drugiej klasy, to jednak ze względu na wysokość opłaty wpisowej w kwocie rs. 50, które mają być uiszczane w ratach półrocznych z góry, oddziały te dla znacznej większości biednych mieszkańców Podlasia są niedostępne. Zmodyfikowana przeto teorya Maltusa bądź co bądź da się zastosować w obecnym położeniu naszego szkolnictwa. Brak miejsca powoduje inną jeszcze nader ważną niedogodność. Z powodu znacznego napływu kandydatów wstępne egzamina są bez porównania trudniejsze od tych, jakie powinny być w normalnym stanie rzeczy.

An. Dy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 września.

Dodatkowe, uzupełniające wybory francuskie odbyły się w przeszłą niedzielę. Nie zmieniają one prawie zupełnie stosunku partyi politycznych w przeszłym zgromadzeniu posłów. Wprawdzie *intransigeanci* wyszli zwycięsko w paru okręgach Paryża, a nawet na prowincyi udało im się kilku przeprowadzić kandydatów; przecież pozostaną w stanowczej mniejszości, co dla przyszłego sejmu za pomyślną przepowiednię uważać wypada. Liczebnie stosunek przedstawia się w ten sposób, że na 457 republikanów przypada 45 bonapartystów i 45 rojalistów. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że stolica Francyi po raz pierwszy reprezentowaną będzie w parlamencie przez samych republikańskich posłów.

Myliłby się atoli każdy, ktoby przypuszczał, że przyszła sesya sejmowa pozbawioną będzie ożywienia, charakteryzującego obrady prawodawcze francuskie. Materyału do takowego ożywienia dostarczą aż nadto dosyć rozmaite odcienia republikańskiego stronnictwa. Pomimo to atoli chwila jest nader sposobna do przeprowadzenia reform socyalnych, byle Gambecie udało się utworzyć stałą większość parlamentarną. W ostatniem swem przemówieniu w Neubourg proponuje on też połączenie się republikańskich stronnictw z wyłączeniem radykalnych. W rzeczywistości, jeżeli Gambetta potrafi dokonać tego trudnego zadania, jeżeli około wyższych i dalej sięgających celów zgromadzi wszystkich, którzy dobro ojczyzny nad stronniczy przekładają interes, w takim razie pole jego działalności będzie bardzo obszernem. Przeprowadzenie bowiem rozumnych reform socyalnych może radykalizm francuski pozbawić stałego gruntu i uchronić kraj od gwałtownych wstrząśnień, jakieby mu w przyszłości grozić mogły.

Wiadomości z Afryki brzmią wciąż niepomyślnie dla Francyi. W ubiegłym tygodniu zwołano bardzo pośpiesznie radę ministeryalną, na której pod prezydencyą Grevégo dyskutowano kwestyę Algieru i Tunisu. Podobno postanowiono zajęcie wojskiem główniejszych miast regencyi, a przedewszystkiem wzmocnienie korpusu ekspedycyjnego w Afryce północnej. Zresztą wysyłki wojsk francuskich do Afryki trwają wciąż nieprzerwanie, jakkolwiek trudno jest dokonać tego bez mobilizacyi znacznej części armii. Tego znowu unika rząd republikański z obawy zaniepokojenia opinii i przyznania się niejako do niepowodzeń tunetańskiej wyprawy. W związ-

ku z radą ministeryalną stoi także, o ile się zdaje, ograniczenie władzy gubernatora Algieru, co dokonanem zostało za pośrednictwem osobnego aktu organicznego. Projektowana podróż króla włoskiego do Wiednia i Berlina daje pole do obszernych kombinacyj politycznych. O ile się zdaje pozbawioną jest ona doniosléjszego znaczenia. Charakterystyczną jest tu jedynie oziębłość, z jaką w Berlinie przyjęto wiadomość o zamierzonej wizycie monarszej. Jest to naturalnem o tyle, że ks. Bismarck opierając swą przyszłą politykę na stronnictwie środka sejmowego, unikać musi wszelkich ostentacyjnych okazywań życzliwości królowi włoskiemu, by tym sposobem nie drażnić nawiązujących się stosunków z Watykanem. Tak więc pomimo, że książę Bismarck chętnieby widział związek mocarstw środkowej Europy, to przecież dla chwilowych celów poświęca on znane sympatye włoskie, z któremi niedawno jeszcze w Berlinie na każdym spotykało się kroku.

O ile się zdaje, walka z kościołem dobiega pokojowego końca. Tak przynajmniej sądzićby należało z zadowolenia, z jakiem nowy biskup trewirski opuścił gościnę kancelerską, oraz z zamierzonego obsadzenia pozostałych biskupstw. Podobno z kolei najpierw obsadzonem zostanie biskupstwo Fuldy i Kolonii, przyczem obecny koloński biskup Melchers powołanym by został do Rzymu na godność kardynała tak, jak to niegdyś z arcybiskupem Ledochowskim uczyniono.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Pierwszą warszawską kasę pożyczkową dla rzemieślników i robotników, zamieszkałych w cyrkułach I i II przy ul. Podwal, oddano już na użytek publiczny.

— Kasę warszawską dla emerytów już zatwierdzono; na prezesa jej obrano p. Rostworowskiego.

— Deputacya żydowska przybyła z Kijowa do Petersburga, przedstawiała się ministrowi spraw wewnętrznych, Ignatjewowi, w celu uproszenia środków zabezpieczenia przeciwko rozruchom żydowskim.

— Sąd wojenny charkowski rozpatrywał 26 z. m. nową sprawę polityczną.

— Projekt reformy paszportowej opracowano w całości w ministeryum spraw wewnętrznych.

— Komisya, obradująca nad sposobami powściągnięcia pijaństwa, rozpoczęła już swoje czynności.

— Do Lublina przybyli misyonarze anglikańscy.

Nauki. P. D. Hérisson, który podczas swej podróży naukowej do Tunisu zajął się wykopaliskami w ruinach Kartaginy, oprócz 80 nieznanych dotąd napisów, odnalazł mnóstwo przedmiotów wartości archeologicznej. Obecnie zajęty on jest urządzeniem wystawy tych przedmiotów w salach Luwru.

— Pani Kwarcow broniła w fakultecie medycznym w Paryżu rozprawy na stopień doktora medycyny.

— Muzeum w Raperswyllu w Szwajcaryi, według ostatniego sprawozdania posiada: wykopalisk z epoki przedhistorycznej 412, pamiątek historycznych po wsławionych mężach 348, numizmatów 2980, pieniędzy papierowych 800, medali 576, pieczęci 126, obrazów olejnych 67, akwareli 33, miniatur 12, rysunków i oryginalnych szkiców 37, rycin 4498, fotografij 421, medalów, popiersi i posągów 82, kamei 271, minerałów 186, przedmiotów etnograficznych 83, narzędzi i przyrządów naukowych 17, matryc do herbów i medali, oraz różnych odcisków 244, nut 1100 arkuszy; biblioteka zawiera 32,864 tomów, map geograficznych 536, autografów 291, podobizn 212, rękopisów tomów 1194, różnych akt dawnych 17000 w 100 tomach i 200 arkuszy wypisów, tyczących się historyografów tureckich.

Szkoły. W gimnazyach Królestwa Polskiego wykład języka polskiego pozostał w tym roku w ograniczonym zakresie dawnego programu, pomimo przeciwnych rozporządzeń władzy.

— Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie postanowiło urządzić wystawę przemysłu, zastosowanego do wychowania i nauczania.

Przemysł i handel. Bank handlowy w Łodzi otrzymał od ministeryum finansów pozwolenie na powiększenie kapitału zakładowego o 500,000 rs.

— Komisya, zajmująca się badaniem stosunków kolejowych, skończyła swe prace; wypracowała ona projekt ustawy kolejowej, który przedstawiono do zatwierdzenia w zwykłym porządku prawodawczym.

— Ustawę faktyczną przegląda ministeryum finansów.

— Ministeryum komunikacyj rozpoczęło studya nad linią kolei żelaznej, mającą połączyć drogi warszawsko-terespolską z warsz.-petersburską.

— Na kolei terespolskiej wykonano próbę wagonów, zbudowanych w warsztatach tejże kolei.

— *Gaz. Łódzka* donosi, że p. Tader, nauczyciel fizyki przy tamecznej szkole przemysłowej, zbudował bardzo prosty telegraf pneumatyczny, który w niewielkich odległościach wybornie działa.

Rolnictwo. Redakcya warszawskiego *Ogrodnika polskiego* otwarła księgę dla poszukujących posad ogrodników.

Literatura polska. *Biblioteki Warszawskiej* zeszyt wrześniowy zawiera: 1) Estetyczne znamiona i ich odbicie się w wyrobach kunsztu i przemysłu od XVI w do chwili obecnej, p. K. Matuszewskiego; 2) O polskich przekładach tragedyj Sofoklesowych, p. Romana Zawilińskiego; 3) O architekturze u obcych, u nas, uwagi ze stanowiska estetycznego, p. K. Matuszewskiego; 4) Siostra miłosierdzia, powieść, p. E. Castelara; 5) Rzut oka na prace naukowe XV-go walnego zgromadzenia Towarzystwa pedagogicznego w Krakowie w dniach 18, 19 i 20 lipca 1881 r., p. R. Zawilińskiego; 6) Sprawozdanie z trzeciego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie dnia 21 - 25 lipca 1881 r., p. B. P.; 7) Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; 8) Korespondencya do red. B. W. O sposobie czytania fraszki Kochanowskiego „Raki“ p. Felicyana; 9) Wiadomości bieżące.

— Słownika geograficznego wyszedł zeszyt XXI (Godlewo Gorlice).

— *Ateneum* za m. Wrzesień wyszło z druku i zawiera: 1) Dzień zaduszny, nowella p. F. Chojeckiego; 2) Mikołaj Sęp Szarzyński, p. Felicyana; 3) Obraz filozofii spółczesnej w Niemczech i Holandyi przez F. K.; 4) Kometa, powieść p. J. Zacharjasiewicza; 5) Współczesna powieść we Francyi, p. A. Sygetyńskiego; 6) Nowo odkryty napis w Jerozolimie, p. I. Radlińskiego; 7) Jeden z niespełnionych projektów; 8) Kronika przyrodnicza, p. S K.; 9) Rozbiory i sprawozdania; 10) Wrażenia literackie; 11) Korespondencya.

Literatura angielska. Bohn. A. Dictionnary of Quotations from the *englisch poets*.

— Duffield. *Don Quixote*, his Crities and his Commentators.

— Jennings. *Curiosicties of Criticism*.

— Brunton. *The Bible aud Science*.

— Tröbel. Definit ons aud Axioms era futere Science Existence. *Ontology*.

— Winchell. *Science aud Religion*.

— Weir. *The critical Philosophy of Kant*.

— Cox. *An Introduction to the Science of comparative Mithology* aud Folk-Lore.

— Freeman. *The historical Geography of Europe*.

— Benfey. *The sacred Books of the East*.

— Collius W. *The black robe*.

Literatura włoska. Randazzo: Storia d'Italia. (Palermo).

Usimbardi. *Istoria del granduca Ferdynando I* de Medici.

— Fioretto *Gli Umanisti*, o lo studio del latino e del greco nel secolo XV.

— Pasquale. *Manuale di arboriculture*.

— Gubernatis. *Ammario della letteratura italiana* nel 1881.

— Lasso de la Vega. *Calderon de la Barca*.

— Rafaelli. *Il melodrama in Italia*

— Previti. *Il protestantismo, conferenze*.

Teatr. W Wiedniu w teatrze „An der Wien“ odbywają się próby z wyborną operą komiczną Offenbacha p. t. *Robinson Kruzoe*, która przez 13 lat spoczywała w archiwum teatru z powodu mnóstwa trudności w jej przedstawieniu.

— Ryszard Wagner znalazł dla swego „Parcifala“ odpowiednią przedstawicielkę do najważniejszej roli Kundry, istoty tajemniczej na wpół szatana, na wpół anioła.

— Nowozbudowany w Warszawie teatr na miejscu dawnego „Alkazaru“ nosić będzie nazwę „Teatr nowy,“ pierwsze przedstawienie, które się w nim odbyło d. 3 września ściągnęło licznych słuchaczy.

— Szkoła dramatyczna warszawska p. Derynga zaopatrzona została w stałą salę.

— Po raz pierwszy przedstawiono w Warszawie: w Alhambrze farsę *Maciek Dziemba* z muzyką p. Namysłowskiego, w Eldorado komedyę p. I. Klinewskiego *Argonauci*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Redaktor *Prawdy*, dotknięty bolesnem strapieniem, prosi interesantów o wyrozumiałość i cierpliwość.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Августа 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.